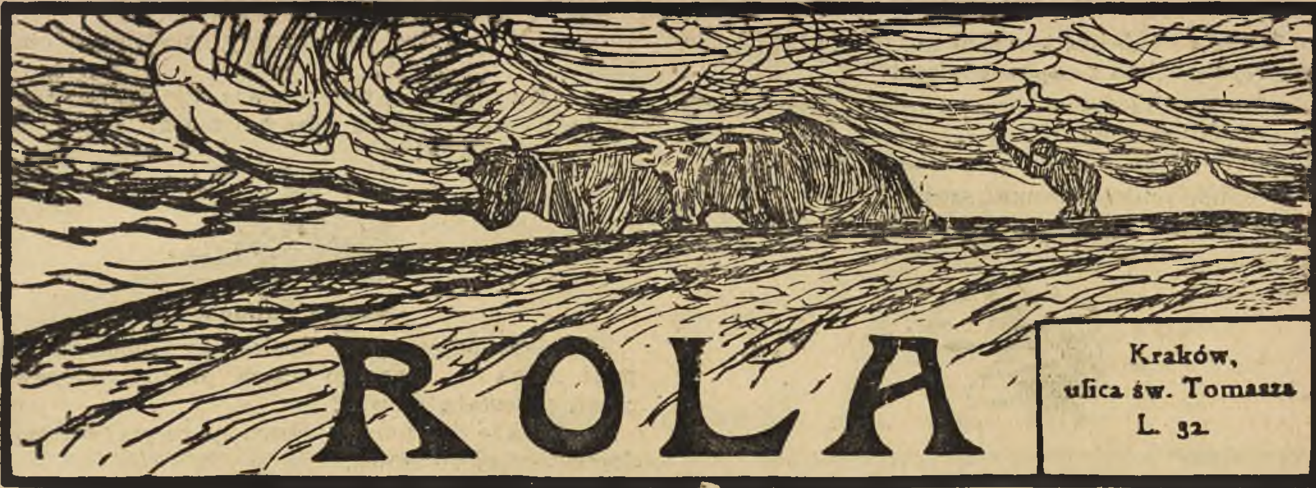
Numer 30. Nal. poczt. opł. rycz. **Dnia 28 Lipca 1929**



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Na plebanji.

— Bójcie się Boga! gospodarzu, macie lat 83 i jeszcze przychodzicie z zapowiedziami?

— To ino dla dzieci, proszę księdza dobrodzieja, żeby nie były sierotami.

— A w jakim wieku są te wasze dzieci?

— A no, chłopiec ma sześćdziesiąty czwarty, a dziewczyna to idzie na pięćdziesiąt siedem.

Nauczyciel: Nie mówi się pon, tylko pan; nie mówi się drobka, tylko drabka. Kuba czy powiesz: czorno krowa?

— Nie proszę pana nauczyciela!

— No więc jak?

— Bioło krowa!

Pamiątka rodzinna.

Co pan dobrodziej ma za pyszną laskę. Możeby mi ją pan odstąpił?

O, nie mogę. To pamiątka rodzinna. Tą laską jeszcze dziadek babkę trzepał.

Jego pogląd.

— Tatusiu, co to znaczy „dziedziczne obciążenie?“

— Hm, jakby ci to z miejsca wytłómaczyć. To niby to, co się bierze od ojca lub matki.

— Aha! kije!

Biedna papuga.

— Nie pojmuję — ubolewała wobec małżonka pani Anna — dlaczego nasza papuga od pewnego czasu przestała mówić?

— Jakże ma mówić, skoro ty całymi dniami nie dopuścisz jej do słowa.

Pewien Anglik pociągniony był do sądu o dwużeństwo. W czasie procesu stawiła się przed sędzią i trzecia jego żona. Sędzia rozgniewany pyta obwinionego:

— Pókiż się człowieku będziesz żenił?

— Póki sobie dobrej żony nie dobiorę.

Małe nieporozumienie.

Sędzia (do młodego świadka): Byłeś także świadkiem zajścia, mały. Powiedz zatem, co było 15-go lipca.

Rocznica bitwy pod Grunwaldem, proszę pana sędziego.

Numer 30. Rok XII. Kraków, dnia 28 Lipca 1929



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1929: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor.cz., półrocznie 27 k. cz., kwart. 15 k. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli“ 30 gr. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.**

Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301 (Konto pocztowe w Pradze czeskiej: Praga Poczt. Urząd Czek. 500.868.

Potrzeba oświaty.

Karm twą duszę nauki zdrowem, czystem ziarnem,
Dobre pisma, dobre książki są duszy pokarmem.

Takie słowa zachęty do czytania dobrych pism i książek zamieściła »Rola« w »Myślach« w roku ubiegłym. Czytanie dobrych pism i książek posiada wielkie znaczenie jest bowiem bronią odporną przeciw zakusom tak zewnętrznych jak wewnętrznych naszych wrogów, jest siłą, która zwalcza biedę i nędzę naszą. Potrzebę czytania dobrych książek i pism odczuwa każdy po Bożemu żyjący i zdrowo myślący człowiek, bo nietylko starsi czytają z zapałem, ale też, co podnieść należy, i młodzież garnie się coraz więcej do czytania.

Warunkiem dobrobytu i dźwignią pomyślności w każdym narodzie jest — oświata. — Oświata jest strawą dla ducha, podobnie jak pokarm dla organizmu i żołądka. Gdyby bowiem człowiek nie odżywiał się fizycznie żyćby nie mógł, więc z drugiej strony jako istota obdarzona rozumem, nie może również obejść się bez pożywienia dla ducha. Pożywieniem tem jest oświata.

Oświatę nabywa się przez rozwagę, rozmowę lub wreszcie z mowy innych. Ale i w inny, jeszcze sposób nabyć ją można, a mianowicie z pism i książek, z nich bowiem czerpie człowiek najwięcej duchowego pokarmu, przez nie oświecają się ludzie i kształcą.

Czasami jednak i pokarm dla ciała nie bywa zdrowy, lecz jest zepsuty a nawet i trujący. Podobnie dzieje się i z pokarmem dla ducha. Zdrowy pokarm duchowy krzepi duszę ludzką, podnosi ją na wyżyny i w końcu doprowadza do tego, że oczy duszy patrzą na ten świat jasno, bez obłudy, zepsuty zaś pokarm duchowy, duszę naszą zatruwa, wznieca nienawiść, pobudza do złości i powoli wtrąca ją w przepaść. Czasem jednak trudno jest odróżnić zepsuty pokarm duchowy od zdrowego, podawany on bowiem bywa ludziom w tak niewinnej formie, że trudno się na nim wyrozumieć. Bierzemy więc złe pisma, złe książki do ręki, nie wiedząc zgoła o tem, że bierzemy truciznę duchową, czytamy je, one zajmą naszą uwagę, przemówią do nas uczuciowo i natychmiast zaczynają działać, zapuszczając jad trucizny w duszę naszą. Jest jednak sposób na to, by odróżnić dobre od złego a mianowicie, jeżeli czytając jakąś książkę lub pismo, zauważamy, że treść owiana jest duchem katolickim, chrześcijańskim, natenczas możemy być zupełnie spokojni, gdyż natenczas spożywamy zdrowy pokarm duchowy. Natomiast gdy spostrzeżemy, że treść książki lub pisma zwalcza katolicyzm albo jest dla chrześcijaństwa źle usposobiona, to wtenczas możemy na śmiało wiedzieć, że ten duchowy pokarm jest zepsuty i że trzeba go zawczasu odrzucić precz od siebie.

Pismami takiemi są broszury, gazety lub książki wolnomularskie, socjalistyczne, komunistyczne itd., które należy nam rdzennie katolickim Polakom stanowczo zwalczać i nie dopuścić do szerzenia się u nas ich zasad. My mamy obowiązek duchowy bronić zasad religji katolickiej i krzewić te zasady w życiu prywatnem, rodzinnem i publicznem, jakoteż w wychowaniu młodzieży. U nas w Polsce sprawy katolickie łączą się ściśle z narodowemi i religja katolicka jest ostoją życia narodowego.

Na zakończenie wyrażam życzenie, aby dobre pisma, dobre książki dotarły rychło pod każdą wieśniaczą strzechę i aby promień prawdziwej oświaty dosięgnął wkrótce do najzapadlejszych połaci naszego kraju, a gdy się to stanie, będziemy narodem silnym i bogatym i nie ulękniemy się ani wewnętrznych ani zewnętrznych wrogów.

Piotr Wenc.

ANTONI ST. BASSARA.

Branki tatarskie.

Powieść na tle historycznem.

Kiedy byli już dość daleko poza obozem, przypomniał jej swoje pragnienia, a patrzył przytem na nią tak ognistym wzrokiem, że pod wpływem jego spojrzenia poczęła dziewczyna drżeć z obawy, czy aby dziki Tatar nie zmieni wobec niej swej taktyki, nie rzuci się na nią i nie zmiażdży w swych uściskach. Dlatego też postanowiła postępować jak najostrożniej. Ostrożnie a hytrze.

— Jussuf — mówiła — przyjdzie ta chwila, że ty i ja będziemy szczęśliwi. Lecz nie pora jeszcze. U nas taki zwyczaj, że małżeństwo muszą pobłogosławić rodzice, a moich tu niema. Pomóż uwolnić Hanusię i Ksenię, a gdy powrócą do Jampola, przyślą błogosławieństwo. Zresztą tyś mahometanin, a ja chrześcijanka, jakże nam więc tak żyć w niejednakowej wierze. Albo mnie ty nauczysz swojej, albo ja ciebie swojej.

— Nasza wiara nietrudna — odparł Jussuf. — Jeden Bóg jest na niebie i jeden jego prorok Mahomet.

— A Chrystus? — zapytała Baśka.

— Podobno był, ale umarł.

— A Mahomet nie umarł?

Jakakolwiek dysputa religijna była z Jussufem niemożliwa. Tatar nie zastanawiał się wiele, co i jak tam było, wierzył tylko w to, w co wierzyć go nauczono. Zresztą, co go w tej chwili obchodziły religje całego świata, kiedy on widział przed sobą tylko Baśkę, której wzrok palił go, której oddech oszałamiał go, której głos przyprowadzał go do utraty zmysłów. Jakoż postanowił skończyć z tem raz wreszcie.

Gdy się tego Baśka najmniej spodziewała, ujął ją silnie za rękę i pociągnął ku sobie. Spostrzegła dziewczyna niebezpieczeństwo i postanowiła się bronić. Ale jak? Broni żadnej nie miała przy sobie, a siły jej fizyczne były o połowę conajmniej mniejsze od sił Jussufa. Górowała jednak nad Tatarem bystrym swoim umysłem, jakiego Jussuf nie posiadał.

— Jussuf! — krzyknęła. — Zostaw!

Ale Tatar nietylko nie zwalniał uścisku, ale począł szukać swojemi rozpalonemi wargami jej ust czerwonych.

Dziewczyna broniła się, jak mogła, ale siły ją poczęły opuszczać. Już chciwe wargi Tatara poczęły pełzać po jej twarzy i do ust się skradać, kiedy zrozpaczonej dziewczynie przyszła z pomocą najstraszniejsza broń, jaką posiada kobieta: po twarzy jej spłynęły dwa obfite strumienie łez i zapiekły rozognione wargi napastnika.

Odsunął głowę od jej twarzyczki i zapytał ze zdumieniem:

— A ty czego?

— Za życiem płaczę, za światem płaczę, za wszystkiem, co jest na tym świecie, płaczę...

— Niby jak?

— Niby tak, że, jak ty mnie nie puścisz, to mnie więcej nie żyć na świecie! Ze mną to samo się stanie, co stało się z Marcysią. Czyżbyś już zapomniał? Z nami po niewoli nic, a po dobrej woli wszystko i zawsze. Wybieraj, co wolisz!

Tatar, choć z trudem, zdawał się jednak groźbę jej zrozumieć, zwolnił bowiem nieco krępujący ją uścisk.

Baśka poznała, że zwycięstwo przechyla się na jej stronę. Mówiła więc dalej:

— Ślubowałam sobie, że nie będę twoją, póki Hanusia i Ksenia będą w rękach Achmeta. Ślubowałam i dotrzymam. Albo mi śmierć, albo ich uwolnienie. Wybieraj!

Jussuf już wybrał. Puścił rękę Baścyną i począł dziewczynę przepraszać, jak mógł i umiał. Nie sierdziła się, będąc zadowoloną, że cała awantura tylko na strachu się skończyła. A była zadowoloną i dlatego, gdyż czuła, iż napad na nią Jussufa już się więcej nie powtórzy. Była dumną z siebie, gdyż na własnej skórze przekonała się, że kobieta, jeżeli tylko chce, to nawet djabła w potulnego baranka przerobić potrafi.

Szli więc teraz dalej w najlepszej zgodzie. On o zajściu wspominać nie chciał, gdyż mu wstyd było, że dał się pokonać kobiecie, która w myśl wierzeń mahometańskich nawet duszy nie posiada, ona nie poruszała tego tematu, aby jeszcze bardziej nie upokarzać i tak już dostatecznie upokorzonego Tatara. Szli, milcząc, gdy nagle z pośród pobliskich traw doszedł ich uszu jakby jakiś słaby jęk, jakby ciche westchnienie.

Przystanęli, nadsłuchując, coby to być mogło.

Jęk powtórzył się raz, drugi i trzeci.

Skierowali kroki w stronę, z której głos ten dochodził. Wnet spostrzegli jakąś czarną postać, wijącą się wśród stepowej zieleni.

— Aman! — szepnął Jussuf i przystanął w miejscu.

— Nic to! Chodź! — zachęcała go Baśka.

Ale Tatar ociągał się, widząc wśród trawy wijącą się czarną istotę. Był pewny, że szatan przybrał umyślnie taką niesamowitą postać, a nawet sam sobie skrępował ręce i nogi, aby tem łatwiej zwieść swe ofiary i szkodę na ciele im uczynić. Wahał się więc ze zbliżeniem się do rzekomego szatana.

Baśka jednak nie zważała na swego towarzysza. Pobiegła ku leżącej istocie i na pierwszy rzut oka poznała, że był to młody człowiek, skrępowany powrozami, z kneblem w ustach.

Wyrwała knebel. Z ust leżącego dało się słyszeć najpierw głośne westchnienie, a potem słowo: Allah!

A więc owym szatanem był jakiś Tatar. Dlaczego jednak ktoś go skrępował, dlaczego całego usmolił, dlaczego porzucił w stepie?

Baśka poczęła kombinować i przyszła do przekonania, że nikt inny nie uczynił tego tylko Stach i jego Lipkowie. Chciał zapewne, aby ten młody Tatarczuk, uwolniwszy się, jak i ów poprzedniego wieczoru, pobiegł tak uczerniony do obozowiska i wzniecił tam popłoch. Przypuszczenia jej potwierdziło zresztą to, co zobaczyła, kiedy Jussuf odwiązał sznury z rąk i nóg chłopca. Na jego plecach widniały narysowane dwie litery: „J. S.“

Potwierdził to zresztą i chłopak, kiedy opowiedział swą przygodę, a mianowicie, jak go obskoczyło trzech szatanów, jak się rzucili na niego, jak go skrępowali i jak potem gdzieś znikli nagle.

Baśka nie wątpiła teraz, że była to sprawka pana Jaszczura i jego towarzyszy. Nagliła więc Jussufa do powrotu, aby się coprędzej nową wiadomością z Hanusią podzielić.

ROZDZIAŁ XIV.

W oczekiwaniu.

Ten drugi wypadek z młodym Tatarczukiem wzbudził w koczowisku jeszcze większy popłoch. Or-

dyńcy bali się nocą wychylać z namiotów, ażeby nie stać się ofiarą szatana. Achmet wściekał się i wyznaczał straże, u których jednak większe znaczenie miał strach przed nieznanem widmem, aniżeli obawa żywego i znanego im, choć srogiego Achmeta. Pozornie więc wypełniali rozkazy, ale gdy Achmet ułożył się na spoczynek, i oni jeden po drugim znikali w swych namiotach, a ukrywszy swe głowy w skórach baranich, polecali się jedynie opiece Allaha.

Achmet pomimo niepewnej sytuacji we własnem koczowisku przygotował się do drogi, gdyż Murza naglił i już trzeciego posłańca słał, ażeby corychlej przybywał i zdał rachunek z niedawnej wyprawy. Wybierał się tam niechętnie, gdyż poza tem, co już przesłał Murzy, jako część zdobytego łupu, nie miał zamiaru nic więcej mu odstąpić, a wobec tego był przygotowany na gniew swojego zwierzchnika. Nie jechać nie mógł, gdyż byłoby to oznaką otwartego buntu, co byłoby jednak niekorzystnem dla niego. Murza posiadał bowiem na Budżaku wielu zwolenników, jako pan sprawiedliwy, chociaż srogi, podczas gdy Achmet nie cieszył się zbytnią sympatją nawet u najbliższych. Zresztą, gdy pojedzie, swoją przebiegłością zdoła gniew Murzy ułagodzić i korzystnie go znowu dla siebie usposobić. Rzuci mu tam jeszcze jaki niewielki ochłap ze zdobytych łupów i powróci znowu do swej siedziby. O tem, aby Murzy odstąpić którąś z dziewcząt, ani nie myślał. Z czterech, które dla siebie upatrzył, jedną musiał odstąpić Jussufowi, druga padła trupem w jego objęciach, a pozostałe dwie musiały mu przecież zastąpić dotychczasowe małżonki, które mu się już uprzykrzyły i które od ostatniej wyprawy całą duszą nienawidził. Szczególniej Tamarę i Szyrin, gdyż te dwie najbardziej się mu narzucały i najwięcej pragnęły jego pieszczot. Sumita, niegdyś tak ognista i wrąca życiem, była dziś chodzącym trupem w całem tego słowa znaczeniu. Wypełniała mechanicznie wszelkie rozkazy, zapytana odpowiadała, ale poza tem więcej nic. Ciało jej plątało się po ziemi, dusza zaś, zda się, gdzieś uleciała już w zaświaty.

Najwięcej może zmianę usposobienia swojego pana odczuwała Mirjam. Ta statarszczała Polka, jak to już powiedzieliśmy, miała w sobie niejako dwie dusze: jedną łgodną i czułą na niedolę bliźniego, drugą hardą i myślącą jedynie o własnem zadowoleniu. Zależało to od okoliczności. Jeżeli przez czyn jakiś nie ponosiła sama szkody, umiała się litować nad niedolą bliźniego i stanąć w jego obronie, ale gdy w grę wchodził jej osobisty interes, wówczas stawała się nieraz straszną dla swego otoczenia. Achmetowi nie narzucała się nigdy, owszem nieraz odtrąciła go brutalnie od siebie i zawsze wychodziło to na jej korzyść, gdyż Tatar stawał się wówczas dla niej czulszy, zaniedbując inne swe żony. I obecnie po powrocie z owej nieszczęśliwej wyprawy miała jeszcze pewien wpływ na niego i przez ten czas ona jedna jeszcze naprawdę była mu żoną.

Łagodna Mira, która przez lat kilka cieszyła się również wielkimi względami Achmeta, zobojętniała mu obecnie. Może być, że gdyby myśli jego bezustannie nie zapełniały Hanusia i Ksenia, więcej znaczenia dlań miałaby i obecnie Mira. Tatar jednak zapomniał wobec nowego nabytku o dawnych skłonnościach, a marzył jedynie o nowej zdobyczy.

Żony Achmetowe niejednakowo przyjmowały tę zmianę swojego pana. Tamara i Szyrin wściekały się na swe następczynie i gdyby mogły, byłyby je w łyżce wody utopiły, Sumita przyjmowała fakt ten obojętnie, Mira litowała się nawet nad nimi, a zaś Mirjam mogłaby się była nawet pogodzić z ich obecnością w namiocie, gdyby ona tylko nadal zatrzymała swoje przodujące stanowisko wobec Achmeta.

Na to się jednak nie zanosiło i to ją najbardziej bolało.

A tymczasem Achmet ułożył sobie plan, o którym żony jego nie wiedziały. Oto postanowił trzy z nich zabrać ze sobą i tam w drodze za byle co pozbyć lub wrazie potrzeby komuś podarować, zaś Mirjam i Mirę pozostawić nadal w obozie, ale już nie jako małżonki, lecz raczej opiekunki i posługaczki żon nowych.

Achmet nie był jednak na tyle głupi, aby się najpierw pozbyć wypróbowanych i wiernych mu towarzyszek, zanim nie zapewni sobie zupełnej uległości nowych małżonek. Wiedział wprawdzie, że do tego kiedyś przyjdzie, bo przyjść musi, ale po przykrem doświadczeniu z Marcysią nie spieszył się zbytnio, gdyż sądził, że dłuższe oczekiwanie dziewcząt na swój los znuży je wreszcie i uczyni powolniejszemi jego zamierzeniom.

I może być, że byłby czekał cierpliwie jeszcze dłużej, gdyby nie wezwania Murzy do rychłego przybycia. Postanowił więc sprawę załatwić w ciągu dwóch, trzech dni. Wprawdzie na przeszkodzie stanęła mu częściowo choroba Kseni po owych plagach, jakie otrzymała z rąk okrutnej Szyrin, ale z drugiej strony naglił go do pośpiechu rozkaz Murzy i te dziwne zjawiska wieczorami koło obozu, które nie wiadomo co mogły za sobą przynieść w przyszłości. Powody do pośpiechu były więc ważne, podczas gdy przeszkoda nietylko nie krzyżowała jego zamiarów, ale owszem nawet mogła je ułatwić. Wszak Ksenia, będąc jeszcze osłabioną, nie mogła opierać się zbyt energicznie jego woli. Mniejsza z tem, czy to będzie szlachetnie, czy nie, któżby szlachetności od napół dzikiego Tatara wymagał?

Postanowił więc działać.

W tym celu przywołał do siebie Tamarę i polecił jej Hanusię i Baśkę wyprowadzić z obozu, aby mu nie były przeszkodą. Wiedział, że i Jussuf pójdzie za nimi. Oddalił też pod błahym pozorem z namiotu Mirę i Mirjam. Pozostał więc sam.

Klaśnięciem w dłonie przywołany eunuch stanął przed obliczem pana.

Polecił mu przyprowadzić do swego namiotu Ksenię, której pilnowała Szyrin.

Kiedy osłabiona jeszcze dziewczyna usłyszała straszny dla siebie rozkaz, zbladła, jak płótno, zerwała się i usiadła na legowisku. Błędnym wzrokiem rzuciła po namiocie, szukając dla siebie jakiegoś ratunku. Chciała błagać o pomoc, ale napotkała tylko szyderczy uśmiech Szyrin, który ją jeszcze większym strachem przejął. Mimo to wyciągnęła ku niej dłonie i poczęła błagać:

— Pani! Na pamięć swej młodości, na pamięć szczęścia dawnego zlituj się!... Broń mnie przed strasznym losem, jakiego ty byłaś ofiarą. Pani zlituj się...

— Głupia jesteś! — zasyczała Szyrin. — Przed czemże ja cię bronić będę? Przed szczęściem, jakiegoby ci niejedna dziewczyna pozazdrościła? Wszak będziesz pierwszą małżonką potężnego Achmeta! Och! gdybym mogła, pierwszabym cię zadusiła, aby cię nie dopuścić do tego, co mnie się należy!

— Więc broń mnie, a powrócisz do dawnych praw twoich!

— Śmieszna jesteś! Rzeczy, którą się raz wyrzuci, już się więcej nie podejmuje nigdy! Co minęło,

nie wraca. A mnie dziś jeno dbać o to, aby się nie narazić na gniew pana mego. No wstawaj!!

Ale Ksenia nie wstawała. Klęcząc ze złożonemi rękoma, już nie słowy, ale bolesnym wzrokiem błagała nielitościwą Gruzinkę o zmiłowanie.

Ta jednak nie miała litości.

— Bierz ją! — zwróciła się do eunucha.

Ten, jak jastrząb bezbronne ptaszę, ujął dziewczynę w swe pazury i począł unosić z namiotu.

Opierała się, jak mogła, ale sił jej nie stawało.

Napół omdlałą rzucił ordyniec Ksenię na zwój skór baranich w namiocie Achmetowym.

— Precz! — wrzasnął Tatar, błyskając kłami.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Polska.

Polska wystąpiła na widownię dziejową w zetknięciu się z Niemcami. Niemcy wytępiwszy zachodnie plemiona słowiańskie, zadali w r. 963 klęskę Mieszkowi I. Rok ten zapoczątkowuje dzieje historyczne Polski.

Roztropność Mieszka, a głównie przyjęcie chrześcijaństwa 966 r. uchroniło Polskę od losu pobratymców zachodnich. Do wieku 16-go Polska się rozwijała osiągając obszar blisko 1,000.000 km.^{2}, następnie jednak zaczyna się Jej powolny upadek. W r. 1772, przed pierwszym rozbiorem posiadała Polska już zaledwie 753.000 km.^{2}, czyli blisko dwa razy tyle ziemi, jak dzisiejsza. Zbrodnia rozbiorów przerwała byt niepodległy Polski na lat 120. Najwięcej ziemi polskiej zagarnęli Moskale, bo około 611.000 km.^{2}, Austrjacy 78.000 km.^{2}, i Prusacy 64.000 km.^{2}.

Naprózno zaborcy wszelkiemi możliwemi sposobami starali się zatrzeć objawy polskości. Naród nasz cierpiał, walczył, modlił się, lecz nie upadał na duchu i zawsze wierzył w zmartwychwstanie Ojczyzny. Oczekiwana chwila nadeszła. Wybuchła wojna światowa. Z oparów wylanej krwi, z morza łez wyłoniła się wolna Polska. W dniu 11 listopada 1918 r. rozbici Niemcy musieli podpisać zawieszenie broni, a 28-go czerwca 1919 r. podpisali traktat wersalski, godząc się z istnieniem Polski niepodległej. Z drugim pokonanym zaborcą, z Austrją, zawarto pokój 10 września 1919 r. w St. Germain en Laye, wreszcie z bolszewikami rosyjskimi, również pobitymi zawarto pokój w Rydze 18 marca 1921 r. Te trzy traktaty pokojowe określają granice Polski dzisiejszej. Granice polskie mają 3.960 km. długości, z Niemcami 1.450 km., z Rosją 1.100 km., z Czechosłowacją 600 km., z Litwą 350 km., z Rumunją 250 km., z Łotwą i Gdańskiem po 100 km. Granice niemal wszędzie są otwarte, trudne do obrony.

Polska dzisiejsza ma 388.328 km.^{2} i ponad 30 miljonów ludności. Rolnictwem zajmuje się na 100— 64 ludzi. Gospodarstw rolnych, drobnych do 5 ha ziemi jest 63%. W r. 1925 było w Polsce 14,058.612 kobiet, mężczyzn zaś 13,134.062. Łekka nadwyżka jest więc u nas po stronie kobiet. Dzisiaj nadwyżkę kobiet można liczyć na miljon. Co do wyznania, to na 100 ludzi przypada 64 rzymsko-katolików, 11 grecko-katolików, 10 żydów, 10 prawosławnych, 4 ewangelików i 1 innego wyznania. Życie społeczne w r. 1927 przedstawiało się w Polsce następująco: małżeństw zawarto 257.993, dzieci urodziło się 950.537, a zmarło 523.171 osób. Rok rocznie więc zwiększa się ludność Polski blisko o pół miljona. Objaw to korzystny dla państwa, tylko potrzeba rozwoju przemysłu, udoskonalenia rolnictwa, by najlepsze często siły społeczne nie musiały udawać się zagranicę i tam przepadać dla Polski.

Kto kupuje wyroby zagraniczne, lub kupuje u ludzi wrogo dla Ojczyzny usposobionych, pędzi swojem postępowaniem swe siostry i braci zagranicę, uboży swój kraj.

Nie mniejszą również jest wina tych kupców polskich, którzy mało uświadomionych ludzi, swojem zachowaniem się, czy cenami zmuszają udawać się do wrogów swego państwa.

W ciągu pierwszych sześciu lat naszej niepodległości umarło u nas na suchoty 667.786 ludzi. Gdy sobie uprzytomnimy, że straszna ta i zaraźliwa choroba trwa lata całe, zrozumiemy, ilu strat jest ona przyczyną. Dalej, zestawienia dochodów monopolowych w roku 1928/29 wynosiły: ze spirytusu dochód 638,284.000 zł., czysty zysk 400 miljonów, z tytoniu dochód przeszło 619 miljonów, zysk 370 miljonów, z loterji państwowej dochód 65 miljonów, czysty zysk 13 miljonów. Smutne to źródła dochodów. Tak trudno zerwać nałogową tradycję używania alkoholu!

Z rozwojem oświaty i dobrobytu, gdy potrzebne pieniądze udą się z innych osiągnąć źródeł, a używanie napojów alkoholowych i palenie tytoniu ograniczy się do możliwego minimum, dla Polski będzie to korzyścią.

Dochody państwowe na rok 1928/29 były obliczone na 2.589,069.714 zł., na nie podatek gruntowy z 18 miljonów ha ziemi ornej i z 3 miljonów ha łąk miał przynieść 109 miljonów zł. Ziemie polskie posiadają wielkie, naturalne bogactwa w urodzajnej roli, lasach, w węglu kamiennym, ropie, rudach, wodach mineralnych. Według obliczeń majątek narodowy w Polsce jest taki, że na każdego człowieka przypada go za 3.600 zł. Niejedna z czytelniczek, czy z czytelników chętnieby zapewne swą działkę przyjęli.

Cóż było przyczyną upadku Polski przed stu kilkudziesięciu laty? Bez wątpienia wiele zawiniła sama szlachta polska. Nie chciała ona płacić Ojczyźnie podatków, ogółem płacono swemu państwu 27 i pół miljona złp., po rozbiorach zaborcom musieli płacić 339 miljonów złp. Upadek oświaty, miłości Ojczyzny, pijaństwo, niezgoda, demoralizacja (sam król utrzymywał harem kochanek), osłabiły Ducha Narodu wówczas, gdy najwięcej może sił było potrzeba. Nie pomogły szlachetne bohaterskie wysiłki lepszej części Narodu. Zbrodniczy zaborcy rzucili się na osłabioną Polskę i rozdarli Ją. A dzisiaj jakich mamy sąsiadów?!

Niemcy mają 472.000 km.^{2} ziemi, około 60 miljonów ludności, 100.000 armję, która jednakże w czasie wojny może dojść do 5 i pół miljona. Rosja ma 19,919.000 km.^{2}, 137 miljonów ludzi, 600.000 armję, mogącą w czasie wojny dosięgnąć 5,630.000. Polska ma 250.000 armję, mogącą dojść do 2 miljonów.

Ci dwaj, starzy sąsiedzi nie są zbytnio życzliwi dla nas, to rzecz pewna. Polska, by istniała, musi być silną, bogatą. Świetność swą zaś może osiągnąć wówczas, gdy dzieci będą Ją, jak Matkę kochały. Miłość Ojczyzny zaś objawia się dbałością o zdrowie fizyczne i duchowe własne, swego otoczenia, a szczególnie kochanych naszych dziatek i młodzieży, na wykuwaniu niezłomnego charakteru, czystego serca, i odpieraniu wszelkich niebezpieczeństw zagrażających Polsce.

Jan Pelczar.



OBÓZ CYGAŃSKI.



Maciek Bzdura gada:

Izydor od Furgaca to bardzo hecowny chłopak. Boją się go chłopcy, boją się go starsiejsze baby, boją i dzieuchy, bo casem niftórej to takiego nieprzyzwoitego śpasa wycyni, ze palce lizać. Ze śpasów jego nieraz mozna się tyle uśmiać, ze jaze potem bez tydzień wanciuch boli.

Wkiejsik przez połednie siedzieli se pod Matusową gruską za stodołą Jewka Pamulonka i Roch Bącyk, aby po półdniowem zęciu nieco odpocąć i pokurcone gicale choć trochę wyprostować. Z niej się lało całkiem, z niego kapało ciurkiem, tak byli umordowani przy lipcowej robocie. A choć tam, gdy z cłeka trochę wody odejdzie i lzej się robi na sumieniu, to to przecie jesce nie wystarcy, ale trza se jesce tędy i tamtędy dokumentnie odetchnąć, aby i serce nie było bardzo uciśnione. Jewce i Rochowi bez to umęcenie ciągle ani się gadać nie chciało o nicem, więc Jewka sukała płech w spodnicy, a Roch patrzył do góry, kędy chmurki goniły się, kieby cielęta po paświsku.

Wtedy przysed do nich Izydor, który zął u Grzeli Jawora i na jednej ręce przyniósł ślicności róze, a na drugiej dziesięć grosy i pada:

— Znajcie moje dobre serce i wybierajcie: la jednego dziesięć grosy, la drugiego kwiatek. Jewka, jako niewiasta, niech wybiera pierwsa. Co weźnie, to jej, a tobie Rochu to drugie.

Jewka zyrknęła jednem ślipiem na kwiatek, drugiem na grose i widać było, ze radaby była wziąć i to i to. I nic dziwnego, boć wiadomo, ze zadnej babie jeden, choćby najlepsy, nigdy nie wystarcy. Ale Izydor pedzioł, co tak odrazu za dwa końce łapać ni mozna, więc Jewka chwyciła za grose.

Roch trochę się skrzywił, ale za to wobec kobiet trza być zawse siarmanckiem, więc zaklął ino na pieruny i ze skrzywionem pyskiem sięgnął po kwiatek. Ale ino go podniósł, wybałuscył ślipie, bo pod kwiatkiem był śrybniusiejki złociak taki, jakiego Poniezus w Warsiawie stworzył. Nie śmiał go wziąć do ręki, ale Izydor powiada:

— Bierz, Rochu, bo on twój i do ciebie się prawnie i słuśnie nalezy.

— Zebym ja była wiedziała — powiada wtedy Jewka, — tobym była brała kwiatek. Ale ja myślała, ze jak weznę grose, to i kwiatek mi się dostanie potem od Rocha, bo co tam chłopu po kwiatkach.

A wtedy Izydor, kieby jegomość z kazalnicy, tak jął prawić:

— Umyśnie ochwiarowałem te piniądze, aby was rozumu naucyć, bo na świecie tak się często dzieje, tu teraz. Niejeden kawalir, niejedna dzieucha łapie ino za grajcary, a potem bardzo tego załuje. Gdyby on brał dziopę, albo ona śturkańca, ftóry ma w sobie dobroci pełno, któren samemi cnotami pachnie, to pod tem zewnętrznem kwiatkiem więcejby grosy znalazła, jak te, za które łapała. A u nas, niestety, tak nie jest! Pocuje który w sobie wolę Bożą i chce się obabić, to nie patrzy na dzieuchę, jak ona jest i co ona warta, ale poprzódzi się pyta, ile za nią dadzą tatuś stajonek, cy postawią chałupę i na przycynek dorzucą jaką jałówcynę, albo i co więcej. I juz tak jest, ze im dzieucha ma więcej morgów, to za nią więcej chłopaków lata, choćby była nieprzymirzając taka sekutnica, jak moja gospodyni. A w zeniacce to nie morgi mają znacenie, ale sama dzieucha, albo sam pośturkac!

Tak powiadał Izydor i tak ono u nas jest na całem świecie od Psiej Wólki do Zatraconej Wsi. Cy to on, cy to ona, to nie patrzą na to, jaka jest ona, albo jaki jest on, ale myślą ciągiem o tem, jakie tatuś dadzą wiano i do wielkości tego wiana swoje kochanie stosują. A potem co jest? W takich stadłach następują nieraz nazajutrz bijatyki, przeklinania, pyskowania, jaze usy bolą i bebechy nosem wyłażą. Jakby ludzie sposobni do zeniacki nie patrzyli tyle na majątki, lepiejby na świecie było. Wtęcas i ja w kawalerskim stanie zywotabym po próżnicy nie tracił, ale miałbym po dziś dzień z osiemnaściorо dziecek w mentrykach u jegomości na mnie zapisanych. A tak co? Ja się marnuję i lata mi schodzą i dziopy się marnują, a jak się nawet casem cłek rozweseli, to musi to wszyćko robić pokryjomu, a i tak potem z tego jesce rozmaite lamentacyje się robią.

Burza.

Skryło się niebo w czarne chmurzysk zwały —
Przeleciał wicher łopotem swych skrzydeł
I bryznął wściekłą gromadą straszydeł:
Zawyły smreki — i zadrżał bór cały.

W skowycie świstów i zgiełków bezładnych
Migają szybko przez obłoki parne
Ostre zygłaki błyskawic bezkarne
I deszcz ulewny — jak potop gromadny!

Wezbrane pędzą bełkotne strumienie —
Cieknie z oślizgłych ścieżek — dróg kał brudny
I kładzie niedojrzałe pełnych kłosów mienie.

Widok straszny! — tu... tam życie dudni,
Tam warkot wieczny — miasto. — Tu cierniowy wieniec,
I świat nie taki, jak się widzi cudny...

Józef Frasik.



Wezbrane potoki.

(Z cyklu: Sonety o Beskidzie).

Tętniące jak husarze, z piersią w cwał wezbraną
Przez złomy twarde, skalne — przez zwalisk odłamy
Raniąc łożyska; krusząc, wiercąc w ziemi szramy,
Płyną górskie potoki z pian grzywą wspaniałą!

I pędzą hucznie, gromko — jak wojska gromada
Z jakąś siłą olbrzyma, widno męstwem płoną;
Zdobiące swoje fale śnieżystą koroną
Pienistych pereł, w które liść z brzegów opada.

Nietamowane w pędzie, gałęzie unoszą —
Nadbrzeżne węzły drzewa, tną żwirem i piaskiem
I okrzyk śmierci mężny na swej drodze głoszą.

Żywiołowo, bezprawnie — szalenie, namiętnie —
Niekiedy dąb się zwali z pomrukiem i trzaskiem,
Po którym las beskidzki — zaszemroce smętnie...

Paweł Kubisz.

Wydziedziczona.

Powieść sensacyjna opracowana dla „Roli" przez K. L.

— Missis — kochana Missis. Nareszcie mam cię już.

Iza przycisnęła Junonę do serca. Potem rzuciły się schodami na dół. Doszły do wału, lecz tutaj zastąpił im drogę ms. Long.

Juno spostrzegłszy niebezpieczeństwo, skoczyła na kupę piasku, pociągnąwszy za sobą Izę.

Nie tak rychło zdążył za niemi mr. Long.

Iza nie mogła biedz dalej.

— Czekaj! — krzyknął Long, ujrzawszy Izę na ziemi prawie bez ducha, — mam cię gołąbeczko! Odpokutujesz mi za tę ucieczkę! Na kolanach błagać będziesz przebaczenia, łaski.

Przesadził planki.

W tej chwili Juno pochyliła się — straszliwy chwyt i upadek. Głęboka woda rozprysnęła się kręgami nad ciałem mr. Longa.

Juno chwyciła bowiem ze straszną siłą jedną z desek mostu, który zapadł się i porwał za sobą plantatora.

Mr. Long uderzył się w głowę. Płynął do stromego brzegu napół nieprzytomny. Tu czekała nań Juno.

— Aha nędzniku! Przepadłeś, massa Long! Zginiesz — utoniesz tutaj sromotnie.

Chwyciła ciężki bicz do rąk i biła bez miłosierdzia.

Daremnie usiłował wydobyć się u brzegu. Za parę sekund byłby trupem.

— Giń psie, — zawołała dziko Juno. — Ty, drabie, któryś unieszczęśliwił tyle dziewcząt murzyńskich! To niechaj będzie twoją karą!

Iza naturalnie, nie mogła znieść takiego widoku.

— Juno, kochana Juno! — wołała ona, — nie daj mu zginąć tak strasznie! Błagam cię!

Prosiła tak długo, aż Juno musiała się zlitować.

Przystąpiła do wody, chwyciła tonącego rozpustnika za kołnierz i wyciągnęła go na brzeg.

Taki był zniszczony, że — zaraz zemdlał.

— Tylko missis mojej zawdzięczasz życie, podły człowieku! Tylko jej jedynie, — krzyczała Juno.

Juno spieszyła z Izą dalej.

Naraz stanęły obie.

— Missis widzi, jak tam zamek płonie?

To czarni mścili się za swoje krzywdy straszliwe, hańbę i niewolę...

53. W obozie rabusiów.

Tymczasem Iza z wierną Junoną dostały się w głąb lasu. I gdy już pewne były ocalenia, wypadło z krzaków dwóch uzbrojonych bandytów i porwali je z sobą.

Daremne były tłumaczenia i prośby Izy, aby puścili je wolno, bo nie posiadają pieniędzy, oświadczyli im tylko bandyci, że muszą zaprowadzić je do swojego kapitana, który zadecyduje o ich losie.

I tak Iza wraz z Juno, przybyły do obozu rabusiów.

Rabusie nie przeszukali sukien pojmanych kobiet. Usiedli sobie wygodnie dokoła ognisk i zabawiali się grą w kości lub karty. Wrzeszczeli, krzyczeli, kłócili się. Ludzie — szakale.

Junonę, aby nie uciekła związali, Iza siedziała naprzeciw niej patrząc załzawionem okiem.

Tymczasem zapadł wieczór.

Juno myślała nad sposobem ucieczki. Piechotą może?

Niepodobna!

Zbójcy dopędzą je na wartkich swoich koniach. — Chybaby dostać parę rumaków. Ale jak je dostać?

Dobrze — a jeśli dostanie konie, to czy umie missis jeździć galopem.

To tylko może obie ocalić... Jeśli Iza nie umie jechać w szalonym galopie, to Juno ją — przywiąże do konia i basta!

* * *

Zapadła noc...

Ognie zagasły.

Bandyci spali twardym snem.

Juno zaczęła próbować swoich sił na więzach, krępujących jej ciało. Daremnie. Więzy z bawolej skóry nadzwyczaj silne.

Juno spostrzegła niedaleko swojej głowy kamień. Wryty był w ziemię. Czołgała się małymi podrzutami ku temu kamieniowi, aż dostała się doń nogami. Trwało to długo. Potem strudzona usiłowała ciągle i ciągle ostrzem kamienia pozbyć się więzów.

Wreszcie — po kilkugodzinnem wytrwałem tarciu więzów o kamienie — przetarły się więzy.

Juno dotarła do grubego pnia drzewa i podniosła się.

Jak cień przedarła się między szeregami uśpionych. Stanęła przed chatą Izy.

Ale tu siedział najstarszy zbójca. Musiał przecie doglądać branki kapitana.

Juno zaszła z tyłu chatki i myślała, coby w tym wypadku począć. Jak zbudzić Izę. Zębami zaczęła gryść i wyrywać słomianą ścianę budy. Przedarła otwór.

— Missis, — szepnęła jak najciszej.

Iza nie spała, gdyż myślała o swym ciężkim losie.

Na głos Junony przystąpiła do otworu.

— Missis — noża i porozcinać mi więzy na rękach i szyji.

Iza, chwyciła drżącemi rękoma za scyzoryk i jęła szybko rozcinać więzy.

— Dobrze, jestem znowu wolna. Niebawem i missis będzie wolna. Tylko jedno pytanie: czy missis umie jeździć konno?

— Umie, Juno.

— To dobrze, ale to będzie długa, niebezpieczna jazda.

— Wszystko zniosę, abym tylko wyrwała się z rąk tych ludzi.

— Teraz missis — zostać tutaj cicho jakiś czas, Juno zaraz powróci.

Czarna zniknęła w ciemnościach nocy. Padła na trawę i przykucnęła. Wzięła w ręce przerżnięte lasso ze szyji i ucieszyła się niemało. Lasso można było jeszcze użyć.

Juno potrzebowała je tylko zręcznie związać. Nawinęła lasso na lewą rękę i udała się w stronę końskiego pastwiska.

Część szlachetnych zwierząt leżała w trawie, a druga połowa drzemała stojąc i wyczekiwała poranku.

Juno zoczyła też strażnika koni, który siedział na wysokim pagórku i patrzył zadumany w dal...

54. Śmiałe przedsięwzięcie.

Nie spodziewał się człeczysko, że w trawie czyha nań zguba.

Nagle poczuł, że ścisnęło go coś za gardło.

Parę niezrozumiałych, gardłowych tonów i leżał na ziemi, zdławiony potęgą lasso.

Juno przyskoczyła i zawikłała go silnie i parę razy w sznur dokoła ciała. Do gęby wsadziła mu kłębek trawy. Jego zaś samego okryła własnym jego płaszczem.

Teraz wyszukała w pobliżu jednego ogniska siodło dla swojej pani. Rzecz naturalna — działo się to z ogromną przezornością i uwagą.



Drzwi pękły pod ciosami murzyna.

Życie jej wisiało i w tym wypadku na włosku. Niedaleko jednego ogniska leżała jej własność, — skóra jaguara, którą zabrał jeden z czcigodnych bandytów...

Niedaleko też znalazła pas opatrzony patronami i prochem strzelnym.

Zabrała i te potrzebne rzeczy. Potem pobiegła do słomianki Izy.

A czas już był najwyższy, bo szarzało już.

— Missis — prędko wyjść, bardzo prędko.

Otworem wydrapanym w słomiance wyszła Iza. Doszły do stanowiska koni.

Juno oddaliła się, aby przyprowadzić rumaki.

Na widok czarnej zaczęły konie parskać. To mogło zdradzić ją i odkryć całą sprawę, ale rabusie wiedzieli, że koło koni stoi strażnik.

Czarna uspokoiła konie głaskaniem i słowami pieszczonemi i tymczasem, osiodłała gniadosza. Na lisa zaś przywiązała skórę jaguara i swój tłumok. Za parę minut stała już koło swojej pani.

— Musimy przeczekać, dopóki nie zrobi się jasno, — szepnęła. Są tu pagórki niebezpieczne do przebycia. Można się łatwo potknąć i narazić na śmierć niechybną. Chodźmy do koni tymczasem.

Podeszły do koni i czekały.

Iza zawarła bliższą znajomość ze swoim gniadym, gładząc go ustawicznie po ślicznej szyji. Gniadoszowi to się widocznie podobało — i tak byli oboje niebawem dobrymi przyjaciółmi.

Juno nie mogła się pochwalić sympatjami swojego lisa...

Jako prawdziwy Amerykanin miał wstręt do Murzynów wrodzony.

Pomału robiło się jaśniej.

— Missis, — jedziemy, ale uważnie tam — przez wąwóz, — tam stromo dosyć.

Puściły się naprzód.

Po żmudnem przebyciu kamienistej kotliny, dostały się obie na płaskowyże.

— To rzeka. Musimy na nią uważać. Prowadzi ona do Kingstree... Teraz missis na koń i — jazda.

Ochoczo wskoczyła Iza na swego rumaka.

Przypomniały się jej czasy, kiedy hasała śmiało i namiętnie na dzielnym wierzchowcu w rodzinnych jeszcze stronach...

To jej przydało się dzisiaj...

Jechała jak ulana z miedzi. Wysokie siodło meksykańskie było dla niej dobrem oparciem.

Juno wsiadła na koń po męsku, podłożywszy pod siebie pyszną skórę jaguara. Jechały dwie dziwne amazonki...

Śliczna acz delikatna Iza, która siedziała na grzbiecie wierzchowca jak piękny centaur żeński i dzika napół naga piękność czarna Junona...

Jechały teraz dosyć wolno, gdyż chciały uszanować konie na wypadek pogoni.

Juno wsunęła do strzelby ładunek.

— Na wszelki wypadek — missis.

Jechały długo.

Naraz dał się słyszeć wystrzał.

Równocześnie zabrzmiały krzyki...

Odkryto ucieczkę...

— — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Bandyci w obozie zaraz rano odkryli nasamprzód ucieczkę Junony.

Myśleli, że uczyniła to w spółce z biesem.

Tymczasem Izy też nie znaleźli.

Rzucili się więc do koni. Popędzili na wszystkie strony za zbiegami. Zmiarkowali przytem ubytek dwóch najlepszych koni.

Juno umiała wybierać...

Padli na ślad uciekających.

Poczęła się gonitwa szalona...

Na życie i śmierć...

* * *

Przed oczyma zbiegów rozlegała się okolica, pełna farm. Niedaleko zaś widać było wielkie miasto.

— To Kingstree. Byłam tam już parę razy.

Szybko pędziły konie gościńcem. Ku miastu ciągnęły wozy na jarmark.

Iza i Juno zbliżyły się do farm.

Z poza nich przygalopowało parę młodych jeźdźców.

Młodzieńcy zdziwili się niemało, patrząc na jadące kobiety.

Jeden z farmerów zawołał:

— Toć to lis farmera Harfera! Skąd przychodzisz do niego, Murzynko?

Zamiast Junony odpowiedziała Iza, opisując cały wypadek.

— To najgorsi rabusie z całej okolicy! Każdy koń tam kradziony, a mnóstwo ich z naszych farm.

Iza zwróciła się do nich z prośbą, aby odstawili oba konie do farmy, sama zaś z Junoną udały się na stację kolejową, skąd miały jechać do Houston.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Dwa światy.

I.

Góry podniebne widziały ich miłość, ptacy niebiescy stroili swe głosy, by ich weselić, potoki górskie srebrzyste, burzliwe szemrały im o miłości burzliwej jak one; nieba roześmiane patrzyły w ich oczy rozkochane palące... a nieraz i księżyc ogromny przysłuchiwał się ich szeptom miłosnym, gdy zapatrzeni w siebie roili plany promienne i pili nektar młodości.

Ile krasy mieszczą te górskie krainy, tyle zesłały na nią, Danusię.

I Jontek był piękny, jak tylko góral pięknym być może.

I śnili miłość, a pachniała im wiosna, a śmiało im się życie! Codzień gdy słońce rozczerwienione naprzód łuną, potem zorzą bladawą, potem seledynem i głębokim fjoletem gasło na niebie, codzień gdy ptaszęta wypłukawszy dowoli gardziołki całodziennym śpiewem kładły się do snu, codzień gdy sadyby ludzkie mroczały, codzień tam na szczycie pod wierzbą nad szumiącym w przepaści potokiem spotykali się Jontek i Danusia.

I dziś stęsknieni za sobą patrzyli w siebie miłośnie:

— Danuś, oj kiedy ty, dziewczyno, moją będziesz...? — szeptał Jontek, a słowa jego by rajska rosa spływały na rozmarzoną duszę Danusi.

— Oj będę ja twą, przychołubisz na całe życie, niewolnicą ci będę, oj Jontek!

Niczem było cudowne granie kapeli wiejskiej, niczem zabawa radości. Te słowa były dla Jontka życiem, śpiewem, weselem, wszystkiem, te słowa były cudowną kopalnią, gdzie mógł czerpać radość, nadzieję i wszystko, co piękne.

— Jako ta skała będę ci stały i wierny Danuś. Patrz! jak ten grab od nasienia wyrósł w objęciach olszyny, z nią się zrósł, stał się jej częścią, kością, krwią... tak ja twój, twój na wieki!

— Mój — powtarzała Danusia.

I śnili wsłuchani w upajającą ciszę wieczoru, rozkołysawszy swe serca, kieby ta kalina swe warkocze, a ich wzajemnem zapewnieniom jeno ta nocka świadczyła, te góry rzucone tu ręką Stwórcy, ten bór czarny odwieczny i potok hań pod ich stopami szumiący.

Ale w tych chwilach szczęścia nieraz przykra świadomość nasuwała czarne myśli Jontkowi. Danusią była nietylko pierwszą dziewczyną we wsi co do urody, lecz także co do bogactwa. „A nuż — myślał Jontek — nie dadzą mi jej!“ I wtedy chciał dokonać czegoś wielkiego: chciał być tym bajecznym wyrwidębem, wichrom się oprzeć, turnie zdobywać, słońce przejaśnić, orłów przegonić, byle tylko to niebezpieczeństwo zażegnać. Ale nie tobie było Jontku losem kierować, nie tobie było dobrocią szafować. Spadł na cię ból, jak jastrząb na gołębia swobodnie bujającego w przestworzach, nagły zabójczy.

Jak codzień, tak i dziś spotkali się na umówionem miejscu. Ale smutny był Jontek, chociaż taksamo wdzięczyła się wiosna, choć przed nim stała Danuś równie piękna, a może jeszcze piękniejsza. Smutny był Jontek: łzy przesłaniały mu oczy, ból tłumił porywy kochającego serca, jakieś rozpacze snuły się po czole.

A każde słowo Danusi było, niby cięcie prętem, bolesne, niby zimna struga rozczarowania:

— Jontek do miasta rodzic mnie wysłał do wielgaśnego miasta na naukę. Nic to, wrócę wierna ci i kochająca.

— Wrócisz — szeptał Jontek — wrócisz tak samo...

Jakaś straszna trwoga i przeczucie więziły jego dalsze słowa — szumy jakieś haotyczne wprawiały w bezład jego myśli: czuł tylko, że mu coś wielkiego zagraża, że coś strasznego stać się może. Przytulił rozpalone czoło do chropowatej powierzchni wierzby i słuchał...

— Jontek na naszą miłość świętą, czystą wrócę i będę twoją. Wola ojca dla mnie święta. Jontek nie gryź się po próżnicy — prosiła.

— Ej by ty mi wiarę dziewczyno złamała — zakrzyczał Jontek czując, że te słowa ciśnie mu na usta strach, strach skąpca widzącego, że mu ktoś odbiera jego skarby; tak, czuł Jontek, że powinien mówić inaczej, że to może ostatnie spotkanie, może ostatnie...

— Danuś przysięgnij na to, co ci najdroższe, na prochy matki, że mi będziesz wierną.

— Przysięgam — szeptała Danuś — a drzewa zachybotały się majestatycznie, a wichr poniósł słowa przysięgi, rzucił je na fale potoku, na hale aksamitne i cały okrąg brzmiał uroczyście: „Przysięgam, przysięgam...“

I pojechała Danuś do wielgaśnego miasta, pojechała i zabrała Jontkowi słońce radości i pogrążyła smutnego w nocy rozpaczy. Jontek codzień przychodził na miejsce spotkań, rozglądał się po znajomych przedmiotach, przez szczęśliwe wspomnienia dumał o Danusi, a potem rozczarowany pustką, przekonany, że Danusi niema, padał na ziemię, gdzie jej stopy spoczywały, całował podeptaną trawę, albowiem jak góral kochał i jak góral nie mógł zapomnieć: i łkał, a łkały z nim góry poczciwe, bory, strumyki i wiatr niecnota cichem mu łkaniem wtórował...

II.

A miasto tętniące, ogromne wciągnęło Danusię w swe życie, rzuciło ją między tłum przewalający się po ulicach, przycisło do szyb wystawowych i pobudziło do pierwszych żądz, zabaw i strojów.

Wśród tego ludu biednego pracującego, wśród tej czeredy szlifującej bez celu bruki, wśród nędzy i pustej świetności, wśród śmiechów lubieżnych i jęków łzawych chodziła Danusia i dziwiła się... Dziwiła się, póki w jej sercu nie zagasły ostatnie wspomnienia, wieś rodzinna, prostota i skromność sielska. Lecz potem zaczęła szukać wśród tego gwaru siebie, zaczęła być cząstką, trybem tej wielkiej maszyny, którą poruszają dwie odwieczne energje: zabawa i walka o byt.

Poza szkołą i zwykłą pracą zaczęło Danusię interesować życie miejskie, to też, gdy wieczorem błyskotliwe lampy rozświetlały ulice, przechadzała się Danuś, a wiodła ją tu nietylko ciekawość, lecz także pewna chęć triumfowania. Lubiła ściągać na siebie powłóczyste spojrzenia żerujących lowelasów, lubiła na ich impertyneckie uśmiechy odpowiadać gryma-

sem ust, lubiała na grzeczniutkie zaproszenia odpowiadać spojrzeniem pełnem wzgardy.

Wychowana w zaciszu wiejskiem, gdzie żyła w ścisłem kółku, a gorącemu młodzieńczemu sercu folgowała w rozmowach z ukochanym Jontkiem, teraz była tem nowem życiem olśniona. Podziw dla strojów, zabawy przemienił się w żądzę tychże. A w mieście nie brakło chętnych, którzy niedoświadczone dziewczę mogli sprowadzić z drogi prostej. Przez koleżanki zapoznała się z „złotą młodzieżą“ miasta. Byli tam i tacy o wyniosłej minie hrabiów, co nic nie robiąc, zawsze byli dostatnio ubrani; ci swoje szlachectwo przy lada jakiej sposobności wykazywali: byli i tacy, co chwalili się wysokiemi stanowiskami i łapali dziewczę na lep górnych przyrzeczeń i obietnic.

Wśród takiego niebezpieczeństwa wzrastała Danusia i zaszczepiała w swą prostą, niewinną niegdyś duszę ziarno zła, które rozwinęło się potem w owoc występku i zupełnego upadku.

Czy żywiła uczucia dla Jontka?

W chwilach skupienia, wejścia w siebie żałowała go, żałowała swego życia i lękała się czarnej przyszłości.

Lecz życie porwało ją w swój zawrotny wir, nie dało duszy rozważać.

Gdy tedy Danusia wieczorem bawiła się wśród rozjaśnionej kawiarni, gdy niebacznie brała pełną garścią urodę życia; tam w cichej wsi góralskiej oczarowanej wspomnieniami miłości, spoglądał Jontek tęsknym wzrokiem ku stronie, gdzie Danusia znikła... borykał się z sobą... cierpiał, czekał, marzył..., bo miłość niby drzewo ogromne wyrosła w jego sercu, stłumiła inne uczucia i pozwoliła patrzeć w przyszłość tylko przez pamięć przyrzeczeń i przysiąg Danusi.

I płynął dzień za dniem Danusi w zabawie wśród nowych zdobyczy życia, Jontkowi w bólu i tęsknocie.

A miasto huczało, szalało razem z Danusią.

A wieś smętniała i płakała z Jontkiem.

III.

Wróciła. Szła biedna, szarpana rozpaczą, przyciskając dziecię do piersi, szła do rodzinnej wsi do Jontka. Na jej spotkanie wyszły góry skąpane w krasie wiosennej, wyszły i lasy rozśpiewane, rozpachniało od wczesnych kwiatków i traw, wyszły i potoki górskie igrające kolorami ogromnego wiosennego słońca.

Szła Danuś, zazdroszcząc drzewom, że mogą cicho stać nieszarpane boleścią, zazdrościła ptakom, że mogą śpiewać, ciesząc się słońcem i łaskawością Stwórcy; szła zapatrzona w ukochane strony, schylona od ciężaru boleści, ocierając pot z wynędzniałego oblicza: szła w nowe życie lub grób, w nową boleść lub radość...

Umykały jej z pod nóg koniki polne, zrywały się ptaki przerażone, smagały ją gałęzie lekkim zefirkiem poruszane, a jej się biednej zdało, że to wszystko, wszystko przed nią stroni, ucieka jakby nie była człowiekiem.

Przesuwała Danuś przed oczyma tragiczny obraz życia od chwili, kiedy otrzymała list z wiadomością, że ojciec ciężko chory i że wracać musi do domu. Wracać! Teraz otworzyła się bezdeń bólu przed Danusią.

Złamana straszną świadomością, czem była, czem jest, a czem będzie, targała swą duszę, zdzierała z niej powłokę brudu, patrzyła w jej głąb, szukała czegoś dobrego: nic nie znalazła! Do kogo wrócić: Jontkowi złamała wiarę, ojciec przeklnie! Ból chwycił ją za gardło, wpił się kleszczami w serce — i teraz poraz pierwszy poczuła, że serce boli, że może boleć jak każdy inny organ: zamiast serca czuła w piersi rozognioną ranę, każde jego uderzenie było targaniem trzewi; przed jej oczyma stały straszne maszkary zbrodni; chciała wypluć z siebie skalaną duszę, lub wskoczyć do ognia, by wyjść czystą, chciała rozedrzeć łono, gdzie był zaród grzechu...

— Jontek Jontek!!! — to łkanie przemieniło się w ryk ogromny, brzemienny szalejącą boleścią. Cierpiała. Ta chwila była pokutą, te kilka godzin męczarnią za lata uciechy.

Szła Danusia na swą Kalwarję przez one dróżki kręte, falujące po wzgórzach, nizinach, równinach. Ale gdzie cel jej drogi?

Tam iść, gdzie wyrosła ich czysta miłość, tam iść gnało ją serce. Pięła się pod górę, zoczyła znajomy szczyt, na szczycie wierzbę pochyloną starą, posłyszała szept strumyka, tam gdzieś w przepaści ukrytego. Chciała Danuś widokiem ukochanego miejsca, wspomnieniem chwil szczęśliwych złagodzić ból.

Stanęła na szczycie.

Lecz cóż to? Czy zmęczone myśli tworzą przed okiem obraz ułudy? Czy chora wyobraźnia postawiła ją przed człowiekiem, którego najbardziej kochała?

Zadrżała Danusia. Przed nią stał Jontek wwiercony ostrem spojrzeniem w przepaść.

Danusi wydał on się bogiem, straszliwym sędzią. Jontek stał jak posąg nieruchomy.

— Jontek! — wydarło się z przerażonych piersi Danusi — Jontek! — zachwiała się, oczy przysłoniła dłonią...

Łkała w niej dusza.

— Danuś! — doleciał ją okrzyk jakby człowieka zbudzonego z głębokiego snu, w którym go dręczyły mary straszne, a który widzi, że te mary są prawdziwe.

Patrzał Jontek.

Patrzał strasznie. Spojrzeniem obdzierał ją z ciała, wdzierał się w głąb duszy, czytał z niej, jak z otwartej księgi — czego nie dojrzał przez mgłę lat, to zobaczył w tem jednem spojrzeniu.

Zrozumiał. Na potwierdzenie strasznej świadomości wyszeptał tylko:

— Zdradziłaś!

Danusię chwycił strach śmiertelny: zdrowy rozsądek kazał jej uciekać precz od tego człowieka. Ale Jontek spojrzeniem przykuł ją na miejscu, i zbliżał się wolno do niej.

Twarz mu zesztywniała w wyrazie bezgranicznego bólu, wściekłości i rozpaczy; szedł jak sędzia, by ukarać, jak kochanek, by żałować.

Stanął przed nią.

Pchnął strasznie!

Zatoczyła się Danusia, zachwiała i wpadła w przepaść.

Wzburzył się potok.

I znów była cisza: jeno potok szumiał, bór szeleścił i słońce krwawiło się na niebie.

Oglądnął się Jontek, westchnął i ruszył w góry.

Poszedł: może, aby zapomnieć, lub żałować...

Kazimierz Barnaś.



Poradnik gospodarczy.

Miód jako lekarstwo.

Pisanie tego roku o miodzie, to temat nie bardzo wesoły. Jak bowiem stwierdzają obliczenia statystyczne, wskutek ostrej zimy około 60% pasiek wyginęło tak, że i miodu tego w obecnym roku nie będzie zbyt dużo. Ale im mniej go będzie, tem bardziej go należy cenić, zwłaszcza, iż jest on tego wart.

Uchodzi za pewnik, że pszczelarze z powołania nietylko stałem cieszą się zdrowiem, ale nawet każdy z nich późnego dochodzi wieku. Wpływa na to nietylko przebywanie na świeżem powietrzu, ale także styczność z jadem pszczelim, który posiada w sobie wybitne środki lecznicze. Środki te posiada również miód.

Że miodu w wielu niedomaganiach i dolegliwościach już przodkowie nasi jako lekarstwa używali, o tem powszechnie wiadomo. Nasze matki w wielu przypadkach umiały z pomyślnym skutkiem w takich razach używać, oszczędzając niemało grosza, który w obecnych czasach może niepotrzebnie na aptekę wydawać trzeba. Pożądaną więc jest rzeczą, aby lecznicze właściwości miodu każdemu były znane.

Najskuteczniej działa miód przeciwko cierpieniom gardła i piersiowym, oraz połączonym z nimi dolegliwościom.

I tak: Kto cierpi na kaszel, ochrypnięcie i wszelkie inne dolegliwości w gardle, ten powinien rano na czczo i wieczorem przed udaniem się na spoczynek wypijać filiżankę ciepłej herbaty, zgotowanej z kwiatów lipowych, a osłodzonej miodem. Oprócz tego można używać odwaru z szałwi osłodzonego dobrze miodem, dodawszy następnie kilka kropli czystego octu. Przy cierpieniach gardła, powstałych ze zaziębienia, używa się tego odwaru w letnim stanie do płukania w gardle po kilkanaście razy dziennie.

Przeciwko astmie używa się z dobrym skutkiem herbaty z liści fiołkowych, zaprawionej miodem. — Przy cierpieniach płucnych dział skutecznie herbata z włoskiego kopru z miodem. Warunkiem jest, aby miód był czysty, na miodarce wydobywany, a herbata przy piciu, o ile możności, ciepłą. Należy ją pić po kilka razy dziennie.

Nie potrzebaby prawie wspominać o tem, że przy opuchnięciu migdałów i przy zapaleniu gardła najskuteczniejszym środkiem jest płukanie w gardle odwarem z szałwi i miodu. Krótko powiedziawszy, — wszystkie cierpienia gardłowe i piersiowe, powstające wskutek zaziębienia, usuwa się najskuteczniej zapomocą powyższych herbat z miodem.

Również skuteczny okazuje się miód przy cierpieniach żołądkowych. U dorosłych usuwa herbata z piołunu, miodem zaprawiona, wiele boleści w żołądku, wzmacnia żołądek i przyspiesza trawienie. — Przy zatwardzeniu sprowadza rozwolnienie odwar liści senesowych z miodem, którego się używa po kilka razy dziennie aż do skutku. U dzieci skutkuje w tym samym przypadku klejek rumbarbarowy z miodem, albo też już odwar włoskiego kopru z miodem.

Leczenie się miodem nie jest żadnem znachorstwem, ale rzeczą całkiem naturalną. Wszelkie lekarstwa, sporządzane w aptekach, szczególniej na choroby powyżej wyszczególnione, zawierają w sobie odwary z roślin lub kwiatów. Miód również pochodzi z kwiatów i to najróżnorodniejszych, przez co zawiera w sobie wielką różnorodność esencyj leczniczych, — przeto na wszelkie choroby jest polecenia godny. — W miodzie znajdujemy sok kwiatu lipowego, akacjowego, koniczynowego, tatarki i tylu setek innych kwiatów, zmieszany razem, więc nic dziwnego, iż może on być z dobrym skutkiem używany na wszelkie choroby, a przytem takie słodkie lekarstwo chory z prawdziwą przyjemnością zażywa.

Aby zaś każdy miał miód w domu, powinien każdy gospodarz trzymać pszczoły, które nie wymagają około siebie wielkiej pracy, a pożytek znaczny przynoszą. Niestety, u nas pszczelnictwo mało jest rozpowszechnione i zaledwie w wiosce całej kilka pni pszczół zobaczyć można. Tymczasem w innych krajach mieszkańcy tamtejsi ciągną z pszczelnictwa znaczne zyski, mając w domu zawsze miód tak do jedzenia, jako też i do picia. Oprócz tego, gdy przyjdzie wielki post, tak starsi, jak i dzieci chętnie jedzą chleb z miodem, który jest tanią i smaczną omastą.

U nas najbardziej pasiecznictwo rozpowszechnione jest we Wschodniej Małopolsce, ale inne dzielnice stoją pod tym względem na bardzo niskim stopniu, choć lecznicze właściwości miodu wszędzie dobrze znają. I w tych okolicach, gdzie zaledwie jeden lub dwóch gospodarzy posiada pasiekę, są oni bardzo nieszczęśliwi, gdyż niema prawie dnia, aby ktoś z sąsiadów nie zjawił się z pokorną prośbą: — „Kumecku! A dalibyście mi ta trochę miodu, bo coś Maryśkę brzuch boli!“ I kum, choć klnie w duchu, daje ten miód, bo jakże lekarstwa odmówić. A najlepiej zamiast miodu byłoby mu dać dobrą radę, aby sobie sam pasiekę założył.

Poradnik lekarski.

Słoneczny udar. Umieszczenie chorego w miejscu przewiewnem i cienistem, z głową wzniesioną, jeżeli twarz jest sina i nabrzmiała, z głową spuszczoną, jeśli twarz jest bladą. Zastosować zimne, lodowate, okłady na głowę, gorczyczniki na łydki, stosować sztuczne oddychanie i podawać wodę z kilkoma kroplami rumu lub wina. Jeżeli chory jest nieprzytomny, zrobić lewatywę z czystej wody.

Porażenie piorunem. Ułożyć chorego poziomo, zlewać zimną wodą, robić sztuczne oddechanie, rozcierać ciało szczotką przez ręcznik. Ciało można okładać świeżą ziemią. Poparzenia skóry leczy się jak zwykłe oparzenia.

Wstrząs zdarza się najczęściej przy niespodziewanem uderzeniu w podbrzusze, równocześnie z silnem wrażeniem przestrachu. Chorego należy poziomo ułożyć z głową opuszczoną w tył i z uniesionemi wysoko nogami. Skórę drażnić szczotkowaniem albo masowaniem ciała w kierunku do serca. Dać gorczycznik na łydki i dołek podsercowy. Jeżeli chory połyka, dać gorącą silną kawę.

Zemdlenie. Ułożyć chorego na równi pochyłej, z głową nieco niżej. Okna pootwierać, ubranie chorego porozpinać, usunąć wszelki ucisk na szyję, klatkę piersiową i brzuch chorego. Podrażnić skórę nacieraniami wodą z octem, oraz celem podrażnienia śluzówki nosa dać do wąchania amoniak. Po przyjściu do przytomności dać napić się czarnej kawy.

KRONIKA.

Od Redakcji. W dzisiejszym numerze „Roli“ opowiadania p. t. „Podróż po dalekich krajach“ nie zamieściliśmy i przerwiemy przez kilka numerów. Tuż zaraz po wakacjach dział ten będziemy zamieszczać w dalszym ciągu. Kilka bieżących tygodni wakacyjnych wyzyskamy właśnie do przysposobienia tych opowiadań jakoteż i całego materjału do „Roli“ na jesień i zimę, który będzie bardzo zajmujący i z pięknemi ilustracjami. Szczególnie piękne i kosztowne ilustracje w „Podróży po dalekich krajach“ wzbudzą wielkie zaciekawienie, a ponieważ materjał do tych opowiadań jest wielki, więc końca przypuszczalnie nawet oznaczyć nie możemy.

Bandytyzm na wsi. W nocy z dnia 15 na 16 b. m. około godziny 12 w nocy trzech nieznanych dotychczas sprawców dokonało kradzieży pierza u Michała Lipiarskiego w Zalasiu ad Tęczynek. Sprawcy po dokonaniu czynu w czasie ucieczki natknęli się na niejakiego Ludwika Wilczka z Zalasia, który zastąpił im drogę. Wówczas sprawcy oddali do Wilczka 2 strzały rewolwerowe, raniąc go ciężko w brzuch. Rannego w stanie beznadziejnym odwieziono do szpitala w Krakowie. Opisu sprawców i bliższych danych na razie nie ustalono. Dochodzenia w toku.

Olbrzymi jesiotr. Rybakom jarosławskim udało się na Sanie złowić olbrzymiego jesiotra. Długość jesiotra wynosi 2 m. 30 cm., a waga około 115 kilo. Zachodzi kwestja, że złapana sztuka jesiotra jako samica, podlega w tym czasie ochronie i policja może szczęśliwych łowców postawić w stan oskarżenia.

Ofiary pioruna. Onegdaj w czasie szalejącej burzy w Kozaczynie p. Borszczów uderzył piorun w dom Hryńka Dobrańskiego i zabił jego 36-letnią żonę oraz 77-letnią Parańkę Pochyłą, bawiącą u niego. Wskutek uderzenia pioruna spłonął doszczętnie dom Dobrańskiego wraz z dobytkiem.

Napad rabunkowy. Wracał z jarmarku z Dunajowa do Potoczan gospodarz Józef Zieliński. Pod lasem stanął przed nim zamaskowany bandyta i pod grozą rewolweru zrabował Zielińskiemu sto złotych. Następnie znikł w gąszczach leśnych.

Skrytobójczy mord na weselu. W mieszkaniu Hrycia Bartosza w Rudańcach, p. Lwów, odbyło się onegdaj huczne weselisko. Prym w zabawie dzierżył Wasyl Seńczyszyn, którego w żadnym kącie nie brakło. Nagle przez otwarte okno padł strzał rewolwerowy, godząc Seńczyszyna w plecy. Zalany krwią Seńczyszyn, mając na wylot przebite płuca, w kilka chwil wyzionął ducha. Kto go zabił, niewiadomo. Morderca zbiegł bez śladu. Policja wdrożyła śledztwo i może w dniach najbliższych wyjaśni tę ponurą i tragiczną zagadkę.

Pożary na prowincji. Z prowincji w związku z ostatniemi burzami i piorunami, donoszą o całym szeregu pożarów. I tak w Haliczu p. Podhajce spłonęły cztery gospodarstwa, w Budylowie p. Brzeżany trzy gospodarstwa. W Grzymałowie zaś spaliły się domy, a wicher wywrócił 9 stodół i zerwał dach na młynie i zamku p. Wolańskiego. Szkody bardzo znaczne.

„Cudowne“ odzyskanie wzroku. W poprzednim numerze „Roli“ podaliśmy notatkę o cudownem odzyskaniu wzroku przez chłopca w Mogielnicy. Jak się obecnie okazuje, nie był to cud, ale zwykłe oszustwo. A mianowicie kompanję pielgrzymów do Częstochowy prowadził b. komisarz urzędu śledczego p. Dobiecki. Z pielgrzymką szedł też 20-letni dryblas z zamkniętemi oczyma. Powiadał, że jest ciemny i iść nie może, więc prowadziły go naprzemian trzy tkliwe Warszawianki. Żadna z nich nie przypuszczała, że jest to oszust, ale święcie wierzyły, iż opiekują się kaleką. Na placyku przed mogielnickim kościołem, „ślepiec“ podniósł ręce ku niebu i głośno zawołał:

— Prowadźcie mnie do konfesjonału! Czuję, że za chwilę oczy moje ujrzą światło!

A kiedy wprowadzono go do świątyni, zaczął krzyczeć:

— Cud, cud! Widzę!

Pan Dobiecki, który zna się na takich sprawach, odrazu poczuł nieufność do uzdrowieńca. Nie chcąc robić zamieszania w kościele, zaczekał, póki kompanja nie ruszy w dalszą drogę, poczem poddał młodzika przesłuchaniu:

— Jak się nazywasz?

— Jan Karolak.

— Gdzie mieszkasz?

— Miodowa osiem w Warszawie.

— Co porobiałeś dotychczas?

— Pracowałem w zakładzie dla ociemniałych na placu Trzech Krzyży.

— Od jak dawna byłeś niewidomy?

— Od urodzenia...

W Nowem Mieście p. Dobiecki połączył się telefonicznie z Warszawą. Odpowiedziano mu, że przy ulicy Miodowej 8 żaden Karolak nie mieszka, natomiast policja 2-go komisarjatu zna urwisa nazwiskiem Jan Karolak, zameldowanego przy ulicy Dobrej 52.

— Aha, już go mam — rzekł p. Dobiecki do komendanta posterunku.

Nastąpiło drugie przesłuchanie. Tym razem nie cackano się już z uzdrowieńcem.

— Słuchaj-no, ty łobuzie — przemówił komendant posterunku — co cię natchnęło do tej komedji?

Karolak podrapał się po głowie.

— Prawdę mówiąc — rzekł — to dawno już o tem myślałem. Chciało się zebrać trochę gotówki. Zawsze takiemu, co przewidział, to ludzie grosza nie żałują.

Onegdaj przywieziono tego wyrafinowanego symulanta do Warszawy i osadzono w więzieniu.

Wyrodny ojciec. We wsi Chmielnik pow. Biłgoraj zrobiła policja w domu gospodarza Macieja Buczka straszne odkrycie. Oto w ciemnej komorze przy stodole znaleziono przykutego łańcuchem do ściany dorosłego syna gospodarza Wojciecha. Jak się okazało, wyrodny ojciec trzymał zakutego syna już od trzech miesięcy. W śledztwie zeznał on, że syn zdradzał objawy choroby umysłowej i z obawy przed podpaleniem domu zakuł go w łańcuchy. Wyrodnego ojca aresztowano.

Świętokradztwo. W kościele parafjalnym w Ciechanowie dokonano kradzieży. Świętokradcy uśpili stróża kościelnego, rozbili okno przy zakrystji, przepiłowali kraty i zabrali dwa kielichy złote oraz patynę. Następnie zbiegli.

Żona dwóch mężów. Do jednej z wiosek pod Warszawą, stanowiących letnisko podmiejskie, nadszedł list do włościanki S., przybyłej tam przed kilku laty z Pomorza — od męża jej, Jana S., który w roku 1914 dostał się jako były żołnierz niemiecki do niewoli rosyjskiej, a od r. 1918 przestał pisywać do swej żony i rodziny. Nie mogąc przez szereg lat otrzymać żadnej wieści o mężu, żona uważała go za zaginionego i wyszła powtórnie zamąż. I oto obecnie nieszczęsna kobieta dowiedziała się z listu, że wskutek fatalnego zbiegu okoliczności jest legalną żoną dwu mężów żyjących. Zawinił tu oczywiście rząd bolszewicki, który uniemożliwił dotychczas jeńcowi powrót do ojczyzny z dalekiej Syberji. Jan S. w liście do żony, nadesłanym do wioski rodzinnej na Pomorzu, skąd skierowano list do obecnego miejsca zamieszkania jego żony pod Warszawą, wy-

raża wielką radość, że wreszcie uda mu się powrócić po 15 latach do ojczyzny i ukochanej małżonki i dzieci i zapowiada swój przyjazd na połowę sierpnia. Anna S., prócz dwojga dzieci z poprzednim mężem, ma troje dzieci z obecnym. Pożycie jej z obu mężami było jak najzgodniejsze. Nieszczęśliwa kobieta rozpacza nad tragicznym splotem okoliczności swego życia, w jakie postawił ją nieubłagany los.

Pogrzeb cygana. W Warszawie odbył się onegdaj niezwykły pogrzeb: cygana siedmiogrodzkiego, zmarłego na zapalenie ślepej kiszki. Ponieważ zmarły należał do cerkwi prawosławnej, trumnę wyniesiono otwartą i ustawiono w ogrodzie szpitalnym. Po stronie prawej zajęli miejsca mężczyźni, po lewej kobiety. Oczekiwano na przyjazd „króla" z Marymontu. Około godziny 1 nadjechał samochodem w towarzystwie dwóch adjutantów oczekiwany „król" nazwiskiem Bazyli Kwiek. Stanąwszy przed otwartą trumną, pokłonił się zmarłemu, poczem odkorkował butelkę węgrzyna. Pił zwolna, nie odejmując szyjki od ust. Opróżnił trzy czwarte gąsiorka, resztę wylał na twarz nieboszczyka. Pozostali cyganie zrobili to samo, ale nie jednocześnie, lecz według starszeństwa. Każdy wypijał wino, skrapiając zmarłego resztkami. Uroczystość przeciągnęła się do godziny pół do trzeciej. Roje much obsiadły przesiąknięte węgrzynem ciało. Zajechał karawan. Żałobny kondukt podążył na wolski cmentarz prawosławny. Po odśpiewaniu hymnów i pokropieniu trumny wodą święconą, pop opuścił towarzystwo. Dopiero wtedy brać cygańska przystąpiła do tradycyjnych obrzędów. Zmarłemu wsunięto pod głowę banknot 100 złotowy, oraz złoty dukat węgierski. Z obu stron ciała król Bazyli umieścił po butelce wina, a jedna z dziewuch wysypała z fartucha kilka pęków suchych ziół aromatycznych. Pozatem włożono do trumny zapałki i paczkę papierosów. Na zakończenie odbyła się druga libacja. Tym razem wszystkie butelki odkorkowano jednocześnie. Po kwadransie nieboszczyk pływał wprost w winie. Wlewano mu szlachetny napój do butów, za koszulę, do ust. Co chwila któryś z cyganów rzucał się na ziemię, całował zmarłego w wargi i szeptał mu do ucha słowa pożegnania. Baby zawodziły głośno. Gdy grabarze opuszczali trumnę, posypały się do grobu puste butelki. Na chwiejnych nogach podążyli cyganie do restauracji, gdzie odbyła się stypa pośmiertna. Stosownie do obyczaju, pijaństwo ma trwać trzy doby.

Wyrafinowana zbrodnia. Onegdaj nad ranem znaleźli przechodnie przy ul. Polnej w Łodzi jakiegoś młodego mężczyznę, leżącego w kałuży krwi, który dawał jeszcze słabe znaki życia. O powyższym wypadku zaalarmowano natychmiast władze policyjne i pogotowie ratunkowe. Przybyły na miejsce lekarz pogotowia ratunkowego stwierdził, iż młodzieńcowi wycięto język i zadano mu kilka głębokich ciętych ran w głowę i klatkę piersiową. Nieszczęśliwego młodzieńca odwieziono w stanie beznadziejnym do szpitala. Przeprowadzone dochodzenie policyjne ustaliło, iż śmiertelnie rannym jest niejaki Józef Zarzycki, zamieszkały przy ul. Brukowej. Urząd śledczy prowadzi energiczne dochodzenie w kierunku ujęcia sprawców zbrodni i ustalenia, w jakich okolicznościach zbrodnia ta została dokonana.

Wypadek samochodowy. W nocy z poniedziałku na wtorek w ubiegłym tygodniu wydarzyła się straszna katastrofa samochodowa na szosie Poznań-Warszawa koło Kutna. Szosą tą zdążało auto, prowadzone przez 23 letniego szofera Wacława Suffa, w którem znajdowali się profesor uniwersytetu poznańskiego sen. Dr Ireneusz Wierzejski, oraz 33 letni porucznik 3 p. lot. Marjan Geracki. W chwili, kiedy samochód znalazł się za Zdunami pod Kutnem, wskutek zepsucia się kierownicy najechał na przydrożne drzewo. Wskutek zderzenia prof. Wierzejewski i por. Geracki zostali wyrzuceni na ziemię, doznając bardzo ciężkich ran na głowie. Również szofer Suff odniósł ciężkie rany wskutek uderzenia głową o szybę. Samochód uległ kompletnemu rozbiciu.

Walka na stopniach wagonu kolejowego. Jadący pociągiem z Bydgoszczy do Poznania urzędnik kolejowy Stanisław Twardowski w pewnej chwili zauważył biegnącego po stopniach wagonu złodzieja kolejowego z kilkoma skradzionemi paltami na ręku. Twardowski bez namysłu puścił się za złodziejem w pogoń i schwytał go. Między schwytanym a urzędnikiem rozpoczęła się walka na stopniach będącego w ruchu pociągu. Złodziej z całej siły uderzył Twardowskiego w piersi, wskutek czego urzędnik stracił równowagę i wpadł pod koła pociągu, które obcięły mu obie nogi. Po zatrzymaniu pociągu rannego w stanie beznadziejnym przewieziono do szpitala, natomiast złodziej, korzystając z zamieszania, zdołał zbiec.

Brzuch z sacharyny. Z Sosnowca donoszą: Od dłuższego czasu z Oświęcimia do Sosnowca przyjeżdżał jakiś starozakonny, który uderzał swoją niezwykłą tuszą. Z początku nie wzbudzał on podejrzeń, kiedy jednak zaczął przyjeżdżać do Sosnowca coraz częściej i coraz... tęższy — władze policyjne zaintrygowane tem, zatrzymały go i poddały rewizji. Wynik był nadspodziewany: przy grubasie, który nazywał się Mojżesz Gast znaleziono 6 kg. sacharyny. Gast wsypywał ją w woreczki, które następnie owijał dokoła brzucha, codzień dodając jeden woreczek. Sąd okręgowy w Sosnowcu skazał Gasta za przemycanie sacharyny z Niemiec na 180 zł. grzywny.

Pożar miasteczka. Z Wilejki donoszą: We wtorek między godziną 3 a 5 wybuchł pożar w miasteczku Kurzyniec. Ogień zniszczył 60 budynków, w tej liczbie lokal posterunku P. P. Pożar został opanowany, jednakże ścisłych rozmiarów klęski nie dało się na razie ustalić. Na miejsce pożaru wyjechał niezwłocznie zastępca starosty i powiatowy komendant P. P., którzy zajęli się organizowaniem akcji pomocy dla pogorzelców i ulokowaniem ich na kwaterach w sąsiedztwie.

Międzynarodowy oszust. W Bytomiu, na Śląsku Górnym, zostającym pod panowaniem niemieckiem, odbyła się rozprawa przeciwko międzynarodowemu oszustowi, który podawał się za rabina i doktora filozofji, a właściwie nazywa się Nateles i pochodzi ze Stanisławowa w Małopolsce. Okradł on bibljotekę uniwersytecką we Wrocławiu, gdzie wypożyczył szereg wartościowych dzieł, będących unikatami bibljograficznemi. Następnie powymazywał on pieczęcie i dzieła te sprzedał. Nateles skazany został na 13 miesięcy więzienia. Po odsiedzeniu kary zostanie odstawiony do granicy polskiej.

Awanturnica w sądzie. Przed sądem przysięgłych w Berlinie stanęła onegdaj pewna młoda kobieta, oskarżona o kradzieże, dokonywane w sklepach. Doprowadzona do wściekłości jakiemś niepomyślnem dla niej zeznaniem świadków, zerwała z siebie suknie i bieliznę i rzucała po kolei części swojej garderoby przewodniczącemu na głowę. Gdy stanęła zupełnie naga i nie miała już żadnego przedmiotu do rzucania, chwyciła plik aktów i uderzyła nim przewodniczącego po głowie. Dopiero czterech woźnych musiało wyprowadzić rozszalałą oskarżoną ze sali sądowej.

Letnisko dla kotów. Gazety niemieckie donoszą o pierwszem letnisku dla kotów, założonem przez niemiecki Związek przyjaciół zwierząt w Lankwitz w Niemczech. W specjalnie urządzonych domach z klatkami i budami, pięknych ogrodach i parkach, oddzielnie zupełnie, mogą koty i psy, oddane tam przez swych bo-

gatych panów i bogate panie, wylegiwać się, żreć, ile chcą i poprawić swoje zdrowie. Utrzymanie wielkiego psa kosztuje dziennie 3 do 5 złotych, zaś kota tylko 1.50 do 2 złotych. Ot, na co niektórzy bogacze wydają pieniądze. Czyż nie lepiejby było przeznaczyć je na wsparcie dla biednych.

Bohaterski marynarz. W porcie Stubbenköbing runął w morze podczas wyładowywania z okrętu samochód osobowy, w którym znajdowały się trzy osoby. Jeden z obecnych przy katastrofie marynarzy bez namysłu wskoczył w odmęty i przez rozbite w samochodzie okno zdołał wyciągnąć najpierw jedną osobę, poczem dał drugi raz nurka i wydobył na powierzchnię dwu dalszych pasażerów. Jednego z wyratowanych nie zdołano już przywrócić do życia. Bohaterskiemu majtkowi zgotowała publiczność owację.

Wyprawa po 60 miljonów. W tych dniach wyruszyła z portu francuskiego Saint Nazaire wyprawa, która postawiła sobie za cel wydobycie z głębin morskich belgijskiego okrętu „Elisabethwille", zatopionego w czasie wojny przez niemiecką łódź podwodną. Na okręcie tym znajdował się ładunek djamentów, wartości 2 miljonów funtów szterlingów czyli 60 miljonów złotych. Skarb ten zamierzają obecnie wydobyć z zatopionego okrętu. Poszukiwacze djamentów posługują się olbrzymim aparatem elektro-magnesem (przyciągającym różne ciała zapomocą elektryczności), przy pomocy którego skrzynie, kryjące w sobie djamenty, wyciągnięte mają być z dna morza.

Wylewy w Rumunji. Nietylko Małopolskę Wschodnią nawiedziły w pierwszej połowie lipca katastrofalne wylewy, ale również, jak donoszą z Bukaresztu, w północnej Mołdawji wylał Seret, a woda zerwała liczne mosty. Miasta Bacau, Roman, Fiastra, Neane i Tarbul zostały częściowo zalane.

Katastrofa przy budowie teatru. Z Bukaresztu donoszą o okropnej katastrofie. Gmach, znajdujący się jeszcze w stanie budowy, teatru „Regina" załamał się z niestwierdzonej dotąd przyczyny i przedstawia się obecnie jako jedno wielkie rumowisko gruzów, pod któremi poniosło śmierć kilku robotników przy budowie zatrudnionych. Katastrofa wydarzyła się 16 b. m. w godzinach przedpołudniowych, w czasie największego ruchu ulicznego. Załamanie się murów i sklepień poprzedził gwałtowny huk wybuchu, który napędził przechodniom panicznego strachu. Zawezwana na miejsce policja i straż pożarna nie wystarczyła, ażeby wydobyć rannych z pod kupy desek i cegieł, wobec czego wysłano jeszcze kilka oddziałów saperów na miejsce katastrofy, poczem dopiero zdołano wydobyć z rumowisk licznych rannych i zabitych.

Proroczy sen. Niedawno w Trieście miał bezrobotny robotnik, Antoni Bodia, niezwykły sen. Zdawało mu się, że płynął na pełnem morzu, zupełnie osamotniony. Gdy chciał powrócić na ląd, spostrzegł nagle znaczną ilość banknotów tysiąc-lirowych, tańczących ponętnie na falach i pędzonych pewiewem wiatru ku brzegowi. Wszystkie siły zebrał więc, by pieniądze osiągnąć. Ale również brzeg zasiewały szeroko banknoty. Bodia zaprzestał pościgu i radował się. Nareszcie pomyślał, uśmiechnęło się i do mnie szczęście; nędza moja skończy się bezpowrotnie. Energicznemi uderzeniami ramion kierował się ku lądowi, aby zabrać ten skarb rozsypany. Zaledwie jednak dotarł do upragnionego celu, podeszła olbrzymia fala, która odepchnęła go na morze. Utonął, trzymając w obu rękach pełne garście banknotów... Następnego dnia opowiedział swemu przyjacielowi niezwykły sen. Sam tak wytłómaczył sobie sen: widocznie będzie musiał ciężko walczyć o powodzenie w życiu. W kilka dni potem otrzymał Bodia wiadomość o wolnej posadzie w pewnej firmie. Natychmiast ruszył w drogę, pełen najlepszych nadzieji. Miał jeszcze przebyć jedną ulicę przed dojściem do owej firmy, gdy nagle coś uderzyło go z potworną siłą w bok. Upadł na bruk i w kilka minut skonał. Znaleziono go tak: Leżał w potoku krwi, trzymając w obu rękach kurczowo liczne banknoty tysiąc-lirowe. Oto najechało nań auto, przewożące z jednego banku do drugiego kilka skrzyń z banknotami. Wskutek gwałtownego uderzenia jedna z skrzyń spadła na bruk, banknoty wysypały się, a biedny robotnik, runąwszy, chwycił jeszcze ostatkiem sił ponętne pieniądze. Wkrótce jednak otoczyła go czarna noc śmierci...

Bandytyzm we Włoszech. Włochy południowe i Sycylja należą do tych krain, w których jeszcze bandytyzm hula sobie w najlepsze do dziś dnia. Zwłaszcza w okolicach odludnych, górzystych, często można spotkać się z bandytami, którzy bogatszym podróżnym zastępują drogę i — kłaniając się grzecznie — żądają okupu. Naturalnie okup musi być natychmiast złożony. Pozatem taki pan bandyta życiu podróżnym nie zagraża. W ostatnich latach rząd włoski postanowił zmienić ten wygodny dla bandytów stan rzeczy i z całą energją zabrał się do tępienia bandytyzmu.



Zwiększono ilość karabinierów - policjantów, którzy ustawicznie przeszukują odludne zakąty i ruiny, tropiąc bandytów. Przychodzi czasem do krwawych starć, których ofiarą dość często padają karabinierzy. Nasz obrazek przedstawia takie starcie bandytów z karabinierami.

Katastrofalna powódź. Katastrofa zalania całego szeregu miejscowości na wybrzeżu morza Czarnego w okręgu Trebizondy, na skutek ulewnych deszczów wzrasta obecnie do rozmiarów niebywałej klęski żywiołowej. 30 wiosek zostało zatopionych, a szereg innych uległo strasznemu zniszczeniu. Liczba zabitych przekracza 500. Szkody materjalne szacują na 3 miljony funtów tureckich.

Oryginalna zbieraczka. W Neenah (Stany Zjednoczone) zmarła w podeszłym wieku niejaka Edgerton, która sprawiła swym spadkobiercom kłopot nielada. Uchodziła ona powszechnie za osobę zupełnie niezamożną, nikt więc z całej rodziny nie dziwił się, gdy po otwarciu testamentu okazało się, że zostawiła ona po sobie drobniutką sumkę w gotówce. Jednak wbrew oczekiwaniu dowiedziano się, że Edgerton była posiadaczką jedenastu niezamieszkałych domów. Gdy domy te otwarto, okazało się, że zmarła całą gotówkę lokowała w ten sposób, że kupowała domy, a w nich od piwnic do strychu umieszczała wszelkiego rodzaju meble. Naliczono więc tam 4 tysiące łóżek, 40 organów, 30 fortepjanów i t. d.

RZECZY CIEKAWE.

Przesądy żniwne na Śląsku.

Ogólnopolskie wierzenia i przesądy, związane z czasem żniw i dalszemi czynnościami przy zbiorze plonów rolnych, posiadają na Śląsku szczególniejsze formy.

Do żniw odnosi się, spotykany w okolicach Bogumina, bardzo ciekawy przesąd, którego początek i znaczenie trudno wyjaśnić. Mianowicie, gdy któremuś z kosarzy przypadkiem kosa z rąk wypadnie, powinien wziąć trochę trawy ściętej razem ze zbożem i rzucić na wodę, a następnie wziąć tę trawkę, która popłynie przeciwko prądowi i nosić ją przy sobie, a będzie miał okazję widzieć, jak komedjanci pokazują sztuczki.

W tychże okolicach nie ścina się ostatniej garści zboża, lecz zostawia się ją na polu, zawiązawszy ją poprzednio słomą u góry, a u dołu oczyściwszy z chwastów, aby był urodzaj na przyszły rok, i aby zboże wyrosło czyste.

W południowych okolicach powiatu pszczyńskiego i przyległych mu gminach powiatu bielskiego — istnieje przesąd, że gdy gospodyni przed przywiezieniem do stodoły pierwszej fury zboża nabierze do fartucha „pecyn“, tj. brył z pola zbożowego i wrzuci je do sąsieka w stodole, to uchroni ziarna od zniszczenia ich przez myszy.

W Zarzeczu zakładają gospodarze także w tym celu w dzień św. Jana Chrzciciela za obrazy świętych gałązki olchowe, a gdy nadejdą żniwa, wrzuca się je do sąsieka. Natomiast górale w Wiśle uważają, że najpewniej zabezpieczy zboże przed myszami ten, kto zabije węża przed św. Jerzym (24 kwietnia) i zatknie go w stodole za krokiew. Utrzymuje się też przekonanie, że myszy nie gryzą zboża, jeżeli pierwszy snop rzucony do stodoły pozostanie przez cały czas nie ruszony, na tem miejscu, na które spadł poraz pierwszy.

Na Śląsku Górnym zostawia się w pewnych okolicach ostatnie kłosy na polu dla duchów.

Spotykane w różnych okolicach Polski dożynki, istnieją również na Śląsku i nazywają się na Śląsku Górnym żniwne, a na Cieszyńskim dożniwki. Jako uroczystość obrzędowa są tylko w tych miejscowościach w których są folwarki, natomiast wsie, zamieszkałe przez samych wieśniaków, nie znają tego obrzędu. Bardzo często natomiast spotyka się, zwłaszcza w domach, w których są panny, wieńce uwite najczęściej z owsa jako ostatniego zbieranego zboża, przystrojone wstążkami, które wiszą przez rok nad drzwiami do izby z zewnątrz lub z wewnątrz.

Życie na dachach nowojorskich.

Lecąc nad bogatą dzielnicą Nowego Yorku, Park Avenue i Riverside, pewien lotnik orzekł, że dachy tego miasta to bezgraniczny kraj łąk i zieloności. W orzeczeniu tem, odnoszącem się do wiszących ogrodów, trawników, letnich sypialni miljarderów i miljonerów amerykańskich znajduje się spora doza przesady. Bo dachy tego olbrzymiego miasta wprawdzie wyzyskane są jako „płuca rezerwowe“, przestrzenie, gdzie czerpią mieszkańcy powietrze i zdrowie, ale też znajdują tysiące innych zastosowań. Tam, gdzie w amerykańskiem tempie zużywa się każdą piędź ziemi, gdzie ceny gruntów i placów dochodzą do zawrotnych sum, nic dziwnego, że na płaskich pokrywach „drapaczy nieba“ nowe i ciekawe powstaje życie.

Na 32-piętrowym budynku wznosi się na dachu nowojorska stacja meteorologiczna, zaopatrzona we wszystkie konieczne instrumenty i urządzenia. Pozatem na tym samym dachu trzy wielkie reflektory służą ku orjentacji wjeżdżających do portu okrętów. Na kościele instytutu marynarzy, 16-piętrowa wieża, latarnia morska poświęcona pamięci ofiar katastrofy „Titanic“ z daleka przyświeca niepewnym swej drogi statkom. Poza nią olbrzymi krzyż o licznych reflektorach rozpościera jak symbol wiary i nadziei, swe świetlne skrzydła nad miastem. Na wielu innych budynkach troska o los okrętów i marynarzy kazała umieścić różnokolorowe sygnały świetlne.

Eldorado dzieci urządzone na dachu, otoczonym żelazną kratą, gdzie sztuczna plaża, przyrządy gimnastyczne, huśtawki i kolejki pozwalają malutkim spędzać czas bez troski.

Jubileusz lampy elektrycznej.

We wrześniu r. b. przypada 50-lecie jednej z najdonioślejszych zdobyczy ludzkiego ducha. Pięćdziesiąt lat temu genjalny syn Ameryki Thomas Alva Edison rozpalił dla ludzkości drugie słońce — lampę elektryczną, ognisko cudownego, białego światła o przeczystem blasku promienia słonecznego!

W całej Ameryce czynione są przygotowania dla uczczenia wynalazcy i jego wiekopomnego dzieła i w tym celu utworzony został specjalny złożony z najbardziej zasłużonych synów ojczyzny Edisona, komitet, którego przewodnictwo objął pierwszy obywatel Stanów Zjednoczonych, równie wielkiego ducha człowiek, prezydent Herbert Hoover.

Przygotowuje się więc cały szereg wspaniałych uroczystości i festynów. Między innemi otwarte ma być specjalne muzeum im. Edisona, w którem demonstrowane będą najstarsze typy maszyn, skonstruowane przez genjalnego wynalazcę. Maszyny te zachowały się najzupełniej dobrze i puszczone zostaną w dniu jubileuszu w ruch. Uroczystego tego aktu dokonać ma sam ich twórca.

Oprócz tego w dniu 23 października Thomas Alva Edison, dla unaocznienia swym rodakom całej niezmierzonej dobroczynności swego epokowego wynalazku, naciśnie w swej pracowni guzik elektryczny połączony z wszystkiemi elektrowniami całej Ameryki i wówczas, jak na skinienie różdżki czarodziejskiej zagasną wszystkie światła i kraj cały pogrążony zostanie w ciemności.

Potrwa to jedną minutę, w czasie której każdy obywatel uprzytomni sobie wartość czynu Edisona i będzie się mógł przekonać, jakby mu się źle działo, gdyby wielki genjusz ludzkości nie ofiarował mu tego dobroczynnego płodu swego niepospolitego ducha.

Jak leczono w wiekach średnich.

W średnich wiekach panowała ogromna ciemnota, nawet na dworach królewskich i w miastach. — Oto jakie potworne rzeczy wyprawiano w ówczesnych czasach. — Margrabia Dedo cierpiał na otyłość. Lekarz poradził mu wycięcie tłuszczu z pod skóry. Dzięki tej operacji zmarł Dedo w r. 1190. — Cesarz Albrecht I. austrjacki rozchorował się pewnego razu w czasie uczty. Lekarze uznali, że idealnem lekarstwem będzie powiesić cesarza we drzwiach do góry nogami, a głową na dół. Zdaniem lekarzy, ułatwia

się tym sposobem ujście trucizny przez nos, czy uszy. Po tej kuracji cesarz Albrecht wydobrzał, ale na całe życie utracił jedno oko (skutkiem gwałtownego przekrwienia) i posiadł cerę żółtą (skutkiem pęknięcia worka żółciowego). — Znacznie lepiej powiodło się przy takiej samej kuracji cesarzowi Zygmuntowi w roku 1404. Ten nie tylko wytrzymał 24 godziny powieszenia, ale wyszedł bez szwanku. — Jak potworne bywało okrucieństwo ludzi średniowiecza świadczy następujący przykład. Skazanych na karę śmierci ułaskawiono czasami, ale w ten sposób, że skazywano ich na smażenie się w kotle napełnionym oliwą lub winem, niekiedy wodą. Ludzie, którzy sobie w wiekach średnich odbierali życie, bywali paleni lub wrzucani do wody. Samobójca, który się wieszał, mógł być odcinany tylko przez kata. W podobnie okrutny sposób postępowano ze zwłokami zamordowanego.

Album Zjednoczenia Związków Spółdzielni rolniczych. „W ostatnim czasie ukazał się z okazji Powszechnej Wystawy Krajowej w Poznaniu, Album Zjednoczenia Związków Spółdzielni rolniczych, zespołu obejmującego na 1 stycznia 1929 r. zgórą 3.600 spółdzielni rolniczych na całym obszarze Rzeczypospolitej i zrzeszającego 765 tysięcy członków, niemal wyłącznie z pośród warstw drobnych rolników. Album ozdobiony jest bogato ilustracjami, które są fotografjami portretów map, wykresów i zdjęć wystawionych w Pawilonie Spółdzielczości rolniczej na Wystawie w Poznaniu. Opatrzony odpowiednim tekstem, daje jasny i wyczerpujący obraz na całość ruchu spółdzielczego w rolnictwie polskiem".

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pp.: **Bronisław Słomka** w N. S.: „Wydziedziczona" skończy się we wrześniu. Na czwarty kwartał mamy przygotowane dwie bardzo zajmujące powieści. Z Seminarjum w J. „Rolę" prenumeruje jedna panienka; prawdopodobnie więcej kupuje pojedyncze egzemplarze. — **Józef Górecki** w K.: Owszem, zamieścimy, ale zagadek mamy tak dużo, więc musimy najpierw dawniej nadesłane wyczerpać. — **„Jot" (Kołomyja):** „Ślepiec" nie dla „Roli", możeby coś tak dłuższego a więcej stosownego dla nas? — **Karol Łoziński** w N.: Kasy chorych rozwiązuje rząd i przeznacza do nich komisarzy rządowych, aby wpłacone tam fundusze nie szły na agitacje wyborczą jednego stronnictwa, ale na korzyść członków kas chorych. — **Wł. Janczarek** w W.: Pomimo najszczerszych chęci nie możemy uczynić zadość życzeniu. — **Bronisław Gołębiowski** w K.: Zagadki zupełnie dobre — zamieścimy. — **Józef Serafin** w M.: Otrzymaliśmy — będziemy się starali zamieścić. — **Edward Cygan** w J.: Obydwa utwory dobrze napisane, ale... Ale „U progów Ojczyzny" to rzecz przebrzmiała, która już dziś nie wzbudzi zainteresowania, zwłaszcza w takim krótkim epizodzie. „Żniwa" — zdarzenie nie umotywowane, nie wiadomo, jaki powód miał Czerpała, aby tak po zbójecku postąpić z Jakóbem. Czytelnik stanąłby przed zagadką, której mu autor nie wyjaśnia. — **Sulejman Szabanowicz** w St.: Jakkolwiek takich listów pochwalnych otrzymujemy wiele, to jednak Pański szczególnie nas ucieszył, a to tylko dlatego, że jest od innowiercy: mahometanina, którego jako prenumeratora, zdaje się, jednego tylko mamy i za który bardzo dziękujemy. Przepadłe numera wysłaliśmy powtórnie. Za pozdrowienia również dziękujemy i wzajemnie Pana pozdrawiamy. — **Polański Tadeusz** w S. B.: Podręcznik taki powinien Pan dostać w księgarni Krzyżanowskiego, Kraków, Rynek. Niech się Pan tam zwróci i załączy kartkę koresp. na odpowiedź.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Adam Galer z K.).

■ Spółgłoska.
■ ■ Litera grecka.
■ ■ ■ Papuga.
■ ■ ■ ■ Zwierzę leśne.
■ ■ ■ ■ ■ Mieszkaniec wschodu.
■ ■ ■ ■ ■ ■ Zapach.
■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ Imię męskie.
■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ Miasto w Polsce.
■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ Imię żeńskie.
■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ Gatunek mąki.
■ ■ ■ ■ ■ ■ Inaczej prędko.
■ ■ ■ ■ ■ Widownia.
■ ■ ■ ■ Pora roku.
■ ■ ■ Spoczynek.
■ ■ Litera.
■ Samogłoska.

Litery początkowe, czytane z góry na dół dadzą nazwę faktu historycznego.

2. Zagadki.

(Ułożył Piotr Kowalski z D.).

I.

Wprost to nazwa grodu
Mazowieckiej ziemi,
Wstecz, przybył ze wschodu
Z ludy germańskiemi.

II.

Dwie litery proszę złożyć,
Aby „twierdzenie" utworzyć.

III.

Wprost powodzenie,
Wstecz gamy brzmienie.

IV.

Wprost, na słońcu się znajduje,
Wstecz, na gwiazdkę się daruje.

V.

Wprost firma, cykorję wytwarza,
Wstecz potrzebny dla murarza.

3. Szarady.

(Ułożył Józef Rodak z T.).

I.

Zły to ptak co swe gniazdo pierwsze czwarte,
Przysłowie znane, myśli wielkie tu zawarte,
Trzecia i druga znana wam już przecie,
Bo ją nieraz w lecię z apetytem jecie,
Prawda, że pierwsza druga dzieciom do-
[brze znana,
I za występki bywa wymierzana.
Całość to rodzaj szabli dawniej używany,
A teraz tylko w muzeum spotykany.

II.

Prawdę mówię, że Maciuś lubi pierwsze
[trzecie,
Bo on tam spędza z przyjemnością życie,
I tam przebywa wszystkie drugie trzecie,
A o tem pewno wszyscy dawno wiecie,
Troszeczkę trudu a całość zgadniecie,
Nie powiem wam teraz, później się do-
[wiecie.

4. Układanki.

(Ułożył Jan Smaza z Z.).

Drzewo + zaimek = Miasto polskie.

Poranek + samogłoska + spółgłos. = Jezioro w Polsce.

Obyci w świecie inaczej + spółgłoska = Tygodnik.

Zabawa + pani po angielsku + przysłowek = Poemat.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do wylosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 3 sierpnia b. r.

Znaczenie zagadek z Nru 28 „Roli": 1. Logogryf: Pouczenie rozrywka. 2. Zagadki: I. Węgry. II. Tygrys. III. Orkan. IV. Kupiec. 3. Szarady: I. Palestyna. II. Warszawa. III. Panama. IV. Alabaster. 4. Układanki: Jamajka, cyrkiel, obwódka, balsam, dziurawiec, graty, Warta.

Dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Tekla Bossowska z P. D., Tadeusz Kwerka z W., Piotr Dydak z J., Jan Smaza z Z., Jan Gara z W., Józef Kapuściński z L. (wierszem), J. Górecki z K. i Edward Cygan z J.

Nagrody wylosowali pp.: Piotr Dydak z J. i Józef Kapuściński z L.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Dobra rada.

Mąż (mrucząc): Ładne gospodarstwo: U jednej koszuli obdarty prawy rękaw, u drugiej niema lewego!

Żona: Wielkie rzeczy! ubierz się w obie a będziesz miał dwa rękawy!...

W restauracji.

Gość: — Kelner! podałeś mi rosół — a ten włos w rosole co robi?

Kelner: — Pływa.

Nie pomogło.

Zjadłem: już cztery pudełka proszku od pcheł a to małe nieznośne bestyjstwo jeszcze ciągle mnie gryzie...

W szkole.

Nauczyciel: — Powiedz mi chłopcze kiedy jest pora do zrywania jabłek?

Uczeń: Kiedy stróża w ogrodzie niema.

Brak mu czasu.

— Dlaczego nie zapuszczacie wąsów?

— Pchi!... brak mi czasu. To to, to owo do roboty — nie mogę się zebrać.

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy:

w dniu 19 lipca b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje	od 1·20 do 1·68 zł.	Jałownik	od 1·20 do 1·75 zł.
Woły	od 1·40 do 1·75 zł.	Cielęta	od 1·58 do 2·66 zł.
Krowy	od 1·02 do 1·66 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	2·65 do 2·75 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 3·20 do 3.50

Giełda płodów rolniczych

z dnia 19 lipca b. r.

Pszenica	47·00—48·00	Słoma długa	8·00—8·50
Żyto	25·00—25·50	Ziemniaki stoł.	5·00—6·00
Owies	26·00—27·00	Koniczyna na-	
Jęczmień	25·00—26·00	sienn. czer.	00·00—00·00
Fasola biała	120·00—130·00	Mąka żytnia	42·00—43·00
Groch zwyk.	50·00—53·00	Mąka pszen.	76·00—76·50

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.